PawełSzumił

BYĆ SMOKIEM

(Z nienapisanego…)

**Niedokończona powieść**

Dodatkowy tom cyklu

SŁOWO O SMOKU

Tłumaczył z rosyjskiego

**Jacek Izworski**

Tytuł oryginału**:** БЫТЬ ДРАКОНОМ (ИЗ НЕНАПИСАННОГО)

**Idea**

 – Pa, mamy problemy.

 – Hmm?

 – Ma znowu gryzie ściankę.

 – Naprawimy.

 – Pa, no oderwij się wreszcie! – Szalla już prawie płakała. Mrok ze zdumieniem spojrzał na córkę.

 – Co się z tobą dzieje?

 – Nie ze mną, tylko z mamą. W ciągu trzech dni przeczytała dwie stroniczki. Gdy jesteśmy w salonie, udaje, że wszystko w porządku, a kiedy wychodzimy, zaczyna gryźć ściankę. – powiedziawszy to, Szalla ni to wskoczyła, ni to wleciała na stolik komputerowy, odsunęła łapę ojca od klawiatury i sama zabębniła po niej.

 Na ekranie pojawił się salon. Lobasti leżała plackiem na kanapie, patrząc nieobecnym wzrokiem gdzieś przez ścianę. Z jej pyska rzeczywiście sterczała oderwana z drewnianego obicia ściany szczapa, którą smoczyca w zamyśleniu przeżuwała. Mrokiem aż wstrząsnęło: ściana była obita ohydnymi w smaku przesyconymi żywicą deskami z drewna sosnowego. Aż poczuł na języku kleistą gorycz. Ale Lobasti nawet się nie skrzywiła, więc się przeraził.

 – Szallo, czy to wy z Artiomem coś napsociliście?

 Smoczka aż otworzyła ze zdumienia pyszczek i kilka razy uderzyła się łapką w czoło.

 – Nie obrażaj się, przecież ja tylko zapytałem. Więc co się z nią stało w takim razie? Jeśli to nie wy, to znaczy, że ona sama wlazła w gówno. O-ho-ho…

 – Pa, nie wyrażaj się tak. Nam trzeba dawać pozytywne przykłady wychowawcze.

 Mrok wszedł do salonu, zamknął drzwi na klucz, zasłonił obiektyw kamery komputera, a po chwili wyłączył go, wyobrażając sobie, jak żałośnie zawyła za ścianą Szalla, podniósłszy nad głowę dłonie, zaciśnięte w piąstki. Podszedł do kanapy i usiadł na podłodze przed Lobasti. Ta czule uśmiechnęła się do niego i spuściła wzrok na książkę. Mrok zabrał jej książkę, mówiąc:

 – Już od dwu dni czytasz tą samą stronę. Co się stało?

 – Granit…

 To było kiepsko. Jak wystrzał w plecy, jak cios poniżej pasa. Granit był biologicznym ojcem Mroka., ściślej: ciała, które teraz zajmował Mrok. Lobasti nie wyglądała dobrze w tej historii z porwaniem ciała, ale Mrok miał nadzieję, że przez te trzy lata jednak coś się ułożyło, albo chociaż pokryło się kurzem. Jak się okazuje, nie.

 – Co – Granit?

 – On mi powiedział… Nie, ty nawet sobie nie wyobrażasz, co on mi powiedział... Przyszłam do niego prosić o przebaczenie. Bądź co bądź nasze dzieci to jego wnuki. A on mnie wysłuchał i powiedział… Jak mam teraz dalej żyć!

 – No, ojczulku! – Mrok z miejsca wpadł we wściekłość.

 Dwoistość sytuacji, w jakiej żył od trzech lat, ulotniła się, w Mroku obudził się Stan Fred, najniebezpieczniejszy człowiek Strefy. Pozostawało tylko postanowić, co właściwie ma zrobić z Granitem. Najpierw niech przeprosi Lobasti, a potem… jeśli to prawdziwy smok…

 – Mrok… Już za późno… – Lobasti powiedziała to żałośnie, jak dziecko.

 Mrok zrozumiał, że stało się coś nieodwracalnego. Po chwili Lobasti kontynuowała:

 – Tydzień temu… przepadła ekspedycja Wielkiego Smoka. I on wraz z nią…

 – Nic o tym nie słyszałem.

 – To bardzo daleka wyprawa, aż do sąsiedniej galaktyki M 51. Z początku wszystko było normalnie. Przerzucili tam kompleks bazowy, potem rider. Popłynął strumień ładunków, cybery, zaczęły przeprawiać się smoki, rider wystartował w kierunku przypuszczalnej strefy kontaktu. A potem nagle z ridera na bazę przeskoczył na sekundę Wielki Smok, zakomenderował: „Rozkaz trzy zera! Wszyscy z powrotem!!” i znowu przez zero-t na rider. Ci, którzy byli na bazie, uratowali się: Maja, Elana, jeszcze kilka smoków. A dosłownie w sekundę później łączność z ekspedycją urwała się całkowicie.

 – Zginęli?

 – Jak się tego dowiedzieć? Przecież nie ma łączności. a to inna galaktyka. Przysięgłam sobie... No cóż, teraz to już nieważne. – Lobasti rozpłakała się, przytuliwszy czoło do piersi Mroka. – Chciałam mu przy wszystkich powiedzieć, jaki on jest. Maja mi wybaczyła, a on… Ja bym jemu… A gdyby on… Zamachnęłabym się i ogonem w pysk! Niechby mi nawet potem ogłosili bojkot! Nie miał prawa mi tak mówić. Przecież uratowałam Maję! Gdyby Maja zginęła, w ogóle nie mieliby ze sobą dzieci ani wnuków!

 Mrok słuchał tej paplaniny i nie wiedział, co robić. Jak kłócić się z kimś, kogo nie ma? A przecież dinozaurów także nie ma. Wymarły.

 – Lobasti,czy powiedzenie Granitowi, co o nim myślisz, jest aż takie ważne?

 – U-u-u…

 – Leć do Cerbera i weź od niego szkice maszyny czasu. Ale tej pierwszej, a nie tej, która dubluje światy. Zbuduj ją, wybierz się w przeszłość, daj Grantowi ogonem w mordę i wracaj z czystym sumieniem.

 – Mężu, upadłeś na głowę.

**WOJAŻ**

 Do wojażu przygotowali się zawczasu. Tydzień wcześniej uprzedzili Cerbesa, dodając, że, jeśli zechce, będzie mógł wykorzystać przybycie smoków do własnych politycznych celów. Zechciał. Dla imidżu postanowiono zabrać dzieci, ale Mrok postanowił nie jechać. Cała planeta łacinników, jak ją teraz nazywano, znała jego życiorys, a co innego, jeśli przyjeżdża młoda mama z dziećmi, co innego zaś, jeśli były katorżnik. Z tego samego powodu nie jechała też Catherine. Mrok sprawdził osobiście, czy dzieci dobrze znają łacinę, zestawił spis „białych” i „czarnych” słów żargonowych i kazał dzieciom wyuczyć się ich na pamięć. „Białych” słów wolno było używać, „czarnych” tylko słuchać.

 W przeddzień odjazdu Mrok przeprowadził końcowy instruktaż, po czym się zamyślił.

 – Wszystko będzie normalnie, tato – zapewniła go Szalla.

 – Już wiem! – wykrzyknął radośnie Mrok. –Dzieci, do mnie! Kto zgadnie, czym, według ludzi, rozumna istota różni się od krokodyla ze skrzydełkami?

 – Miejscem zamieszkania – odpowiedziała od razu Szalla. Mrok podrapał się w kark i zwrócił się do Artioma:

 – A ty, synku, co o tym myślisz?

 – Może ubraniem? Tato, ja nigdy nie byłem człowiekiem, jak ty.

 – Też ciekawa myśl, ale ro nie jest najważniejsza. Według ludzi rozumna istota chodzi na dwóch nogach. My to umiemy, więc…

 – U- u-u!... – Zmartwiła się Szalla.

 – To nie wszystko. Według ludzi matka powinna trzymać małe dzieci za rękę.

 – Nie jesteśmy już tacy mali – sprzeciwili się oboje.

 – Nie palnijcie tam tego, bo zepsujecie mamie całą delegację. Póki jesteście u łacinników, jesteście małymi dziećmi. Umawiamy się?

 – Ale dlaczego, tato?

 – Macie po trzy lata. Trzylatków mamy prowadzą za rączki. Gdy ludzie zobaczą, jak wy się trzymacie za rączki, a raczej łapki, popłaczą się ze wzruszenia.

 – No dobrze, tato –zgodził się bez entuzjazmu Artiom.

 – No to potrenujmy. Weźcie się za łapki i przejdźcie do drzwi i z powrotem.

 – No i jak? – zapytali po próbie.

 – Kiepsko. Nie kręćcie tak tyłeczkami jak prostytutki, kiedy chcą skusić klientów.

 – Prosty-co?

 – Hetery.

 – A-a.

 – Spróbujmy jeszcze raz. Machajcie wolnymi łapkami.

 – Tak?

 – Już lepiej, ale ciągle czegoś tu brakuje... – Zamyślił się Mrok. – No tak, oczywiście!

 – Czego, tato? – zapytał Artiom.

 – Ubrania. Miałeś rację, synu. Zrobimy wam kamizelki.

 – Kamizelki? – powtórzyła zdziwiona Szalla.

 – Tak, krótkie kamizelki. Nie będą wam przeszkadzały, a będzie widać, że jesteście ubrani.

 – Tato, myślałem, że jedziemy odpoczywać.

 – Mylisz się, synu. Ty i Szalla jesteście naszą tajną bronią.

 – Uch, ty! A jakie jest nasze zadanie bojowe?

 – Podbić serca ludzi. Fuj, jak sentymentalnie, ale tak! Trzymajcie się, planeta na was patrzy!

 – Teraz już wiem, dlaczego nie chciałeś jechać z mamą – powiedział ponuro Artiom.

 – Masz rację, synu. A teraz porozmawiamy poważnie. Lobasti nie jedzie do Łacinników na wycieczkę, ma poważną, tajną sprawę. Wy jesteście jej przykrywką, rozumiecie? Zasłoną dymną, fałszywą tarczą i tak dalej. Macie odwracać od niej uwagę ludzi i przez to zabezpieczać jej swobodę działania. Wiem, że nie potraficie zupełnie nie chuliganić, ale to nie jest potrzebne. Ale przestrzegajcie dwu zasad. Po pierwsze, żeby mama nie traciła czasu na szukanie was po całej planecie. Potrzebuje czasu na co innego. Po drugie, nie straszcie ludzi. Żadnych ryków, skoków z zasadzki, proc, wodnych i świetlnych pistoletów. Jak najwięcej szczenięcego zachwytu i cielęcej czułości. No nie krzywcie się tak! Mnie kiedyś nazywano Lizusem. Brr! Aż wstyd to wspominać! Ale jak trzeba, to trzeba. Zadanie jasne? Są pytania?

 – Wszystko będzie w porządku, tato.

 – Słowo smoka?

 – No-o… Słowo smoka. Tato, a po co my jedziemy?

 – Dowiecie się, jak wrócimy.

 – A dlaczego nie teraz?

 – Czego nie wiecie, tego nie powiecie. Nawet na sali tortur. Jedna z zasad konspiracji.

 Ostatni rys maskarady wymyśliła Catherine. Na ramieniu Szalli zawieszono damską torebkę, a Artiomowi włożono na głowę kowbojską czapkę z szerokim rondem, co prawda nieco zaadoptowaną pod smoka: z przebitymi w rondzie dziurkami na uszy.

 – Niech to diabli, Mrok, to akurat to, czego nam potrzeba. – zachwyciła się Catherine. – Wygląda jak prawdziwy kowboj, nawet trochę podobny do Tysona. Nic więcej nie trzeba! Każdy inny dodatek tylko zepsuje kompozycję.

 Artiom popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Szeroki pas z kieszonkami, jasna kamizelka, pasująca do niej czapa z zagiętymi połami. Hm-m…

 – A kowboje też nie noszą spodni? – zapytał.

 – Kowboje nie mają ogonów – odrzekł Mrok i wszyscy się roześmiali.

 Lobasti szturmowała olbrzymi spis możliwych pytań i odpowiedzi, niezbędnych Cerbesowi. Większość pytań dotyczyła sytuacji wewnątrz Łacinników, i tu było właściwie obojętne, co odpowie. Takie przygotowanie do konferencji prasowej też były dla niej normalną sprawą. Przy niektórych pytaniach postawiła ptaszki i napisała własne warianty odpowiedzi, a niektóre opatrzyła znakiem zapytania i wysłała spis z powrotem do Cerbesa. Drzwi się otworzyły i, trzymając się za łapki, weszli Artiom i Szala.

 – Któż to was tak wystroił? – zapytała Lobasti, gdy ochłonęła z pierwszego zdumienia.

 – Papa.

 – Stylowo – oceniła Lobasti i postanowiła obowiązkowo zapytać męża, po co to zrobił.

 Artiom miał rację przypuszczając, że nie będą odpoczywali. Uznawało się, że Lobasti odwiedza przyjaciół z ekspedycji, poznaje ich rodziny, dzieli się z nimi wspomnieniami i nowościami. A jakże?! Przyjemnie dzielić się, gdy pod pysk pchają ci z dziesięć mikrofonów? Z reguły przy drzwiach zero-dworców, zwanych tu ranadusami, czekały na nich dwa samochody: osobowy kabriolet dla dzieci i ciężarówka-platforma dla ich mamy. Trudno powiedzieć, czy kierujący miastami chcieli pokazać je smokom, czy smoki mieszkańcom, ale uważali za swój obowiązek przejechać obok każdej osobliwości. Wzdłuż całej trasy stały tłumy ludzi, grała muzyka, wiatr powiewał kolorowymi flagami. Ponieważ Lobasti z powodu swojej wielkości nie mogła chodzić po muzeach, wystawach czy galeriach obrazów, wyręczały ją w tym dzieci, które stojąc na tylnych łapkach, były prawie o głowę niższe od przeciętnych dorosłych ludzi i dlatego ciągnięto je po kinach, teatrach, oddziałach fabryk, wystawach czy panoptikach. Przed nimi chwalono się osiągnięciami, żądano ich autografów, ściskano im łapki, wręczano im przeróżne bezsensowne listy gratulacyjne, klucze do czegoś tam i niezrozumiałe podarunki. Dzieci, przeważnie trzymając się za łapki, znosiły to wszystko i cierpliwie szły tam, gdzie je prowadzono. Lobasti, otoczona tłumem dziennikarzy, zazwyczaj czekała na nie przy wejściu, pozując przed kamerami i odpowiadając na nieskończone pytania. Dzieci zmieniły się nie do poznania, aż Lobasti macała ich nosy, ale te nosy były zimne i wilgotne. Zresztą i tak nie obeszło się bez sztuczek. Gdy smoczki wprowadzono na wieżę obserwacyjną kilometrowej wysokości, nie chciało im się schodzić, tylko wspięły się na poręcz i sfrunęły. Towarzyszącą im matronę trzeba było potem długo cucić i podawać jej trankwilizatory. Innym razem Szalla wyfrunęła z pędzącego samochodu, gdyż zobaczyła budkę z lodami i postanowiła polecieć po parę porcji. Bardzo się zdziwiła, kiedy z tego powodu zapiszczały hamulce i zatrzymała się cała kolumna. Ale najśmieszniejsza historia była z pomnikiem. Każde miasto obowiązkowo demonstrowało smokom pomnik lub popiersie owej Szalli, ku czci której nazwano smoczkę. I raz, gdy trafiła się bardzo udana rzeźba, Szalla zakomunikowała:

 – Szanowny panie prokonsulu, widziałam tu tyle pomników Szalli, a ja nie mam ani jednego. Czy nie mógłby mi pan ten podarować?

 – Eee… chętnie… eee… podarujemy wam…eee… – zaczął zaskoczony konsul.

 – Bardzo dziękuję. Wiedziałam, że pan mi nie odmówi. – Ucieszyła się smoczka. – Artiom, łap! – I zepchnęła statuę z piedestału.

 – U-uch ty! – wykrztusił Artiom, uginając się pod ciężarem trzystukilogramowego pomnika z brązu. – Ciężki jak cholera! Spadłaś z dębu? Trzeba było zawołać mamę.

 – Myślałam, że jest pusty w środku – zaczęła usprawiedliwiać się Szala.

 – Jest pusty – określił jej brat, postukawszy po pancerzu końcem pazura. – Pomóż mi. – I wspólnie dotaszczyli pomnik na tylne siedzenie samochodu.

 – Ale ja miałem na myśli kopię! –wykrzyknął żałośnie prokonsul.

 – Proszę jej wybaczyć – zaczęła szybko Lobasti. – Ona już jest taka prędka. Zaraz postawię na miejsce.

 – Ależ mamo, ja chciałam to podarować papie!

 – To nic, to nic. – Prokonsul zdobył się na odwagę. – Postawimy tu inny.

 – Nie masz za grosz poczucia sztuki. Czerwone trzeba na zielonym lub niebieskim! – Szalla stanowczo odsunęła Artioma i zaczęła układać na podłodze kolorowe krążki po swojemu.

 Lobasti podniosła kilka i obejrzała uważnie. Krążki były tej samej wielkości, ale różnych kolorów. Na wszystkich były liczby: na fioletowych 1, na żółtych 100, na czerwonych 1000 i tak dalej.

 – Co to jest? – zapytała.

 – Fiszki z kasyna.

 – Skąd tyle?

 – Ja i Tiomka rozbiliśmy bank.

 – Co zrobiliście?

 – No, ograliśmy wszystkich.

 – Tam gry mają bardzo prostą matrycę prawdopodobieństwa - potwierdził Artiom, ale nie wiadomo dlaczego bardzo się zmieszał.

 – A skąd wzięliście kapitał startowy?

 – Pomogłem jednemu panu przy automatach do gry – przyznał Artiom. – Tam wszystko takie proste. Trzeba nacisnąć guzik, gdy we wszystkich trzech okienkach są siódemki. Wtedy z automatu sypią się te – wskazał fioletową fiszkę.

 – No tak. Automaty obliczone są na ludzi.Wy macie reakcję siedem razy szybszą. A reszta?

 – Wygrałem w karty – przyznał się Artiom. – Tam też wszystko jest bardzo proste. Dają ci dwie karty otwarte, a resztę tak, żeby nikt nie widział. Ile chcesz – do czterech. Wszystkim tak. No i trzeba zbierać punkty.

 – Synu, spójrz mi w oczy. Gry z prawdopodobieństwem są tak ustawione, żeby kasyno wygrywało. To po pierwsze. A po drugie, Szalla powiedziała, że graliście razem. No więc?

 – Ale mamo, jeśli ci opowiemy, to będziesz kląć – oburzyła się Szalla. Artiom jeszcze bardziej się zmieszał. Lobasti nie mogła powstrzymać uśmiechu.

 – Walcie.

 – Szalla mi podpowiadała. Patrzyła na tego pana, który rozdawał karty.

 – O bogowie Olimpu! A gdyby was na tym nakryli?

 – Mamo, ja siedziałam daleko od niego. Ludzie nie wiedzą, że nasze okulary mogą być jak lornetka. Siedziałam przy stole z kółkiem i widziałam wszystkie karty. I podpowiadałam nie słowami, tylko ruchami uszu. W żadnych regułach nie jest powiedziane, że uszami nie wolno poruszać. Ludzie w ogóle myślą, że nasze uszy poruszają się same z siebie. Poza tym, jeśli zasady są na korzyść kasyna, to przecież to nieuczciwe.! A jeśli tak, to i my możemy grać troszeczkę nieuczciwie. Tak jest sprawiedliwie.

 – Pomyłka w logice. Nikt nikogo nie ciągnie do kasyna. Ci, którzy tam idą, znają zasady. Czyli gotowi są dobrowolnie oddać kasynu część swoich pieniędzy.

 – A nas akurat zaciągnęli! My nie dobrowolnie! Chcieli nam pokazać! Prawda, Tiomka?!

 Lobasti westchnęła. Trudno było kłócić się z tak logicznie argumentującymi dziećmi.

 – A wiecie, że przy wyjściu z kasyna te fiszki wymienia się na pieniądze? – mówiąc to, z ciekawością oglądała mozaikę, układaną przez dzieci na podłodze.

 – Wiemy, wyjaśniano to nam, ale nas to nie interesowało. One są brzydkie i nie da się z nich nic ułożyć – odrzekł Artiom. – Mamo, nie gniewasz się na nas?

 – Gniewam się. Żeby mi się to więcej nie powtórzyło! Daję wam pół godziny na dokończenie zabawy, potem zróbcie porządek i spać.

 – Dobrze, mamo.

 Lobasti zawiesiła sobie na szyi parę kędzierzawych koców, używanych tu przez nią w charakterze ręczników, i skierowała się do hotelowego basenu, który wykorzystywała jako wannę. Dzieci skończyły układać mozaikę i sfotografowały ją na pamiątkę. Potem Szalla wyjrzała za drzwi, smoczki spojrzały na siebie i, nie umawiając się, żwawo zmiotły wszystkie fiszki pod kanapę. Było to szybsze niż układanie w pudełku.

 – Jak tam dzieci?

 – Po prostu nie do poznania. Coś się z nimi stało. Zwykle to dwie połowy masy krytycznej. Każde z osobna to zupełnie normalne dziecko, ale jak się spotkają – buch! Nie wiadomo, dokąd uciekać, czy do domu, czy z domu. A tu nagle – ciche i posłuszne, jak nigdy. Mówię ci, one coś zamyślają.

 – Lobasti, mnie od trzech lat dręczy pytanie, czy to nie ty napisałaś piosenkę „Ach, żegnamy się pod świerkiem, ach, odjeżdża miły mój”.

 Uszy smoczycy zrobiły się od środka całe czerwone, ogon zwinął się w spiralę ze zmieszania. Cerbes uśmiechnął się zadowolony.

 – Nie, to nie ja. Ja ją tylko przetłumaczyłam. A co, jeszcze ją śpiewają?

 – Śpiewają, jeszcze jak. Efeby napiją się koncentratu wina i ryczą: początek pieśni na cały głos, a koniec – prawie szeptem. Trzy lata marzyłem, żeby spojrzeć w oczy temu paskudnikowi, który to napisał. No dobrze, porozmawiajmy na temat.

 – Cerbes, jesteś z nas zadowolony?

 – Tak. Wszystko idzie znakomicie. Naród stopniowo się budzi. Ale nie zadałaś tego pytania ot tak sobie, prawda?

 Lobasti wskazała oczami na kamerę telewizyjną i postukała palcem po mikrofonie.

 – Dobrze – powiedział Cerbes, otworzył biurko i poszczękał przełącznikami, aż powietrze wypełniło ciche, niskie buczenie. – To generator białego szumu. Teraz nikt nas nie usłyszy.

 – Potrzebna mi jest cała techniczna dokumentacja pierwszego modelu maszyny Trepeda, tej, którą on uznał za pozbawioną perspektyw. Ale o tym nikt nie może wiedzieć.

 – Potrzebne ci są schematy i plany. Czyli nie uważasz jej za pozbawioną perspektyw.

 – Tak. I mniej więcej wiem, jak się do niej zabrać. Ale ta rzecz rozsadzi każdą cywilizację. Jest straszniejsza od bomby atomowej, straszniejsza od ciosu grawitacyjnego. Istny cud, że wasi uczeni uznali ją za pozbawioną perspektyw.

 – Smokom potrzebna jest rzecz straszniejsza od ciosu grawitacyjnego… Ciekawe, po co?

 – Nie smokom. Ta rzecz potrzebna jest mnie. Smoki nie mogą się o niej dowiedzieć.

 – Lobasti, zaczynam się ciebie bać.

 – Ja sama siebie się boję. Ale mam wroga, który mnie śmiertelnie obraził. Żądam zemsty.

 – Chcesz skorygować przeszłość?

 – To wszystko jest znacznie bardziej złożone. Nie zamierzam tworzyć paradoksów i pętli czasowych. To może być niebezpieczne. Dlatego nie mogę wyprawić się w przeszłość i tam się z nim spotkać. Mój wróg wyprawił się z ekspedycją, która zaginęła w sąsiedniej galaktyce. Muszę uratować ekspedycję, żeby szczęśliwie wróciła. I wtedy spotkam się z nim sam na sam, rozumiesz? Ale on nie może wiedzieć, że to ja uratowałam ekspedycję. Tego nikt nie powinien wiedzieć..

 – Co potem zrobisz z maszyną? – zapytał Cerbes. Lobasti wzruszyła ramionami.

 – Zniszczę.

 – Ilu ludzi bierze udział w ekspedycji?

 – Ani jednego. Dwadzieścia smoków i dwa myślące androidy.

 – I jeden z nich jest twoim wrogiem. Mam nadzieję, że to nie Dżafar.

 – Tak, jeden to mój wróg, ale to nie Dżafar. On czegoś takiego nigdy by nie zrobił.

 – Dwadzieścia jeden plusów, jeden minus. To dobra arytmetyka dla zaginionej ekspedycji. Aha, ale co chcesz z nim potem zrobić? Zabić?

 – Nie. – Lobasti uśmiechnęła się zjadliwie. – Niech żyje i się męczy.

 – A jeśli on już zginął?

 – A od czego maszyna?

 – Czy ja znam tego smoka?

 – Mogłeś go widzieć wtedy, kiedy zepsułam triumfalne spotkanie.

 – Mrok i Catherine wiedzą?

 – Tak. Mrok sam mi to zaproponował. Słowo smoka.

 – Lobasti, a co ty zrobisz, jeśli ci odmówię?

 – Przecież mnie znasz. Wynajdę maszynę sama. Ale to może mi zająć dziesiątki lat.

 – Dobrze! – Cerbes klepnął biurko dłonią. – Kiedy i w jakiej formie mam ci przekazać dokumentację?

 – Daj mi tylko na nią spojrzeć. To mi zupełnie wystarczy.

**DZIECI**

 Ojciec wrócił z wyprawy. To było wspaniałe! Źle było tylko to, że po drodze do domu odwiedził połowę gospód miasta i zostawił tam chyba z połowę zdobyczy. Odwiedziłby pewnie wszystkie, ale wierny człowiek zawiadomił matkę, a ta wysłała ludzi na jego spotkanie. Z mamą nie ma żartów! Spotykającym kazała też odwiedzić te gospody, w których ojciec i jego oddział zdążyli już być i nakręcić sprawę tak, że cała nadpłata stała się kredytem na przyszłe wizyty. Też nie najlepszy wariant, gdyż teraz przez pół roku nasi woje będą zataczać się od jednej knajpy do drugiej, ryczeć pieśni, wszczynać bójki, aż zrobią się grubi i leniwi – ale nie da się już zwrócić tego, co wzięli oberżyści, a będzie przynajmniej jakiś pożytek.

 Ojciec jeszcze jako tako trzymał się w siodle, ale jedna trzecia jego drużyny leżała już na wozach w dwu warstwach, wprawdzie nie nogami, tylko głowami naprzód, ale korzyści było z nich nie więcej, niż z umarłych. Byli po prostu pijani w trupa. Ale ojciec był znany z tego, że nigdy i nigdzie nie porzuca swoich. Rok temu uśmiałbym się setnie, patrząc, jak przenoszą ich do stodoły i równymi rzędami układają na sianie, ale teraz już notowałem sobie wszystko w pamięci. Mam już dwanaście lat, a ojciec obiecał, że gdy skończę szesnaście, weźmie mnie na wyprawę – jeśli nie będę gapił się bezczynnie.

 – Barry, zobacz, jaki podarunek ci przywiozłem! –zawołał ojciec, zaledwie mnie zobaczył.

 Szedł jak marynarz na statku podczas sztormu, a za nim dziesięciu ludzi, przeszkadzając jeden drugiemu, niosło wielki kosz. Daję słowo, dwóch zrobiłoby to lepiej, a tak skończyło się na tym, że wszyscy się przewrócili, a z kosza wytoczyła się dziewczyna w krótkiej i brudnej sukience. Rozejrzała się ze złością, przetoczyła się i wstała. Ręce miała związane z tyłu. Była o całą głowę wyższa ode mnie. Nie ma co, dobry prezent!

 – Myślałem, że dasz mi bojowego konaka – powiedziałem zawiedziony. – Gdy już będę miał konaka, sam takich zdobędę, ile będę chciał.

 – Słyszycie, co powiedział mój syn?! Oto słowa prawdziwego woja! – ryknął radośnie ojciec. Woje odpowiedzieli trzykrotnym rykiem. Ojciec kontynuował już spokojnie: – Przyjrzyj się jej lepiej. Taka kobyłka jest warta dwóch konaków! Dwa razy próbowała uciec. Chytra, silna, śmiała i wszystko na swoim miejscu. Od początku wyprawy trzymam ją dla ciebie.

 To było już ciekawsze. Ona opowie mi wreszcie o wyprawie ze wszystkimi szczegółami. Woje tego nie robią. Jak są trzeźwi, nie doprosisz się. Burkną tylko, że ot, wyprawa jak wyprawa. A kiedy się upiją – nic, tylko przechwałki. Obszedłem dziewczynę naokoło, dotykając ją jak znawca w tych miejscach, gdzie lubią dotykać podpici mężczyźni. Woje ojca szczerze mi zazdrościli, robili sprośne uwagi i dawali rady. Wyjąłem kindżał i rozciąłem sznurek, krępujący jej ręce, po czym podziękowałem ojcu i zaprowadziłem ją do kuźni. Ojciec powiedział, że dwa razy próbowała uciekać, a tego nie wypadało pozostawić bez kary.

 – Naprawdę próbowałaś dwa razy uciekać? – na wszelki wypadek zapytałem ją już w kuźni. Spojrzała na kowala spode łba i skinęła twierdząco głową – Aleś głupia! Teraz się nie obrażaj – dodałem.

 Kowal rozgrzał moją osobistą cechownicę i przycisnął dziewczynę do ziemi, a ja na wszelki wypadek zapytałem ją jeszcze raz, czy naprawdę próbowała uciekać i po kolejnym skinieniu przycisnąłem rozpalone żelazo do jej ramienia. I wtedy zrozumiałem, że ojciec zrobił mi naprawdę cenny podarunek. Nie zapiszczała i nie zaczęła krzyczeć, tylko ryknęła przez zaciśnięte zęby, w jej oczach pojawiło się szaleństwo, a z ust pokapała na ziemię krew.

 – Nieźle, zupełnie nieźle – ocenił kowal. – Tylko przyciskać cechownicę trzeba dłużej. Widzisz, ślad całkiem płytki, Tylko skórę zadrasnął.

 Dotychczas nikogo jeszcze nie piętnowałem, gdyż nie miałem swoich niewolnic. Trenowałem tylko na prosiaku. Ależ on piszczał!

 Wskazałem na krew, kowal otworzył dziewczynie usta i po kolei w nie zajrzeliśmy. Ta-ak… Wartość podarunku spadła prawie do zera. Czy ona mi cokolwiek opowie? I kiedy postawiłem na niej swoje piętno, nie mogę już się jej pozbyć. Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem do szwaczek. Po drodze spotkałem Barsa i zapytałem go, co oni zrobili z jej językiem.

 – A-a, to było wtedy, gdy pierwszy raz uciekła. Daliśmy jej w obozie pełną swobodę, nawet pozwoliliśmy jej nosić łuk. Na słowo honoru. A kiedy wracaliśmy, pobiegła do domu i jeszcze chciała zabrać nam konaka. Strateg – tak na wyprawach nazywają mojego ojca – przydusił ją trochę, żeby wysunęła język, a potem przybił go jej do stołu dużym gwoździem i związał ręce. Przez noc gwóźdź rozchwiała zębami, wyciągnęła i znowu uciekła, związana. No i od tego ma tą dziurę w języku.

 W szwalni babki Kandy nie było. Baby i dziewczyny otoczyły moją, ale ja im kazałem znaleźć babkę Kandę. Niedługo babka przyszła, obejrzała moją, wzięła ją pod rękę i, mrucząc coś gniewnie, zaprowadziła do swojej przybudówki. Szczerze mówiąc, bałem się iść z nimi, ale nie miałem innego wyjścia. A babka wyjęła garnuszek z maścią, posmarowała nią szmatkę i przewiązała mojej ramię, cały czas besztając mnie gderliwie.

 – Ej, babka, tylko nie ściągnij piętna! – zwróciłem jej uwagę.

 – Ściągniesz, tak! Przepaliłeś prawie do kości, waryjacie!

 – Babko, nie dlatego przyszedłem tu z nią. Obejrzyj jej język i zrób coś, by mogła mówić.

 – Nie ucz uczonej. Jesteś jeszcze za mały, żeby mnie uczyć. Z językiem to potrwa długo, po co dziewka ma znosić zbędny ból? – zwróciła mi uwagę, po czym wyjrzała w okno, zawołała trzy dziewczyny, kazała im przynieść różne rzeczy i wyrzuciła mnie za drzwi.

 Usiadłem na progu i zacząłem obserwować, jak rozładowują wozy. Szło to bardzo powoli, gdyż matka osobiście oglądała każdą rzecz i mówiła, gdzie ją zanieść. Potem, jak ją znam, będzie je do zimy przekładała z miejsca na miejsce. Z jednego z wozów wyładowano parę związanych zaurów i zaniesiono je do stajni. Takich jeszcze nie widziałem: zielone i chyba pokryte łuską. Chciałem podejść, ale drzwi się otworzyły i babka Kanda wyprowadziła moją.

 – Bierz swoją dziewkę. Zrobiłam co mogłam. Jutro przyprowadź ją tu jeszcze raz, zobaczymy, jak się zabliźnia. A ty jej dzisiaj nie ruszaj. Straciła bardzo dużo krwi. Każ kucharkom zrobić mocny bulion, ale nie dawaj jej gorącego, wystudź. A potem połóż ją do łóżka, dla niej sen będzie najlepszym lekarstwem.

 Popatrzyłem na podarunek ojca. Dziewczyna miała duże, czarne i wystraszone oczy. Stała bardzo blada, na drżących i uginających się nogach. Gdyby nie trzymała się ściany, zataczałaby się. Wziąłem ją pod rękę i chciałem zaprowadzić do siebie, ale po drodze skręciłem, żeby popatrzeć na zaury w stajni. Wrzucono je do klatki, gdzie wcześniej trzymano knura, hodowanego do walki, i nawet nie rozwiązano. A związane miały wszystkie cztery łapy, błoniaste skrzydła na grzbietach, a nawet mordy. Miały dwa i pół metra długości i ważyły na pewno po ponad pięćdziesiąt kilogramów. Usiedliśmy oboje obok klatki i zaczęliśmy się im przyglądać. Jeden z nich, wijąc się jak robak, podpełznął do nas. No i jak myślicie, co zrobiła moja? Włożyła rękę do klatki i zaczęła go głaskać. A potem włożyła drugą i rozwiązała tej kreatury mordę, w której były kły wielkości mojego palca. I – nic. Zaur polizał dziewczynę w dłoń, a ona popatrzyła na mnie i zrobiła gest, jakby piła.

 – Chcesz pić? – zapytałem.

 Zaprzeczyła ruchem głowy i wskazała zaury.Wziąłem wiadro i poszedłem do studni. Dopiero w drodze powrotnej zamyśliłem się. Co się dzieje? Moja własna niewolnica mną komenderuje? A może nie komenderuje, tylko prosi? Sama wiadra teraz nie podniesie. Ba, zorientuj się, jeśli ona nie może mówić!

 Zanim przyniosłem wodę, rozwiązała mordę drugiemu zaurowi. Wylałem wodę do koryta, a moja wstała, trzymając się prętów klatki, odwróciła się, zrobiła krok w moim kierunku i… padła nieprzytomna.

 Cały wieczór przepadł. Zamiast siedzieć w sali i słuchać opowiadań, musiałem biegać to do kuchni, to jeszcze gdzie indziej, wykonując polecenia babki Kandy. A jak myślicie, na czyim łóżku dziewczyna spała? Oczywiście na moim, a ja – na tapczanie! Ładny mi podarunek!

 Rano, jeszcze przed świtem, przyszła babka Kanda. Najpierw kazała mojej otwierać usta, oglądała jej język, a potem wygoniła mnie z mojego pokoju! Poszedłem dowiadywać się, jak moja się nazywa. Nie uwierzycie: Wysoka Trawa Pod Porywistym Wiatrem! Ależ ci stepowi nadają imiona! Wprawdzie u nich to wszystko wyraża się jednym słowem, ale tego słowa bez treningu nie wypowiesz. A zresztą, jest moja, więc mogę nazwać ją, jak chcę. W oddziale nazywali ją Trawą. Niech tak już zostanie.

 Wychodząc z mojego pokoju, babka Kanda mięła w rękach prześcieradło, na którym dostrzegłem plamę krwi. Wszedłem i nakrzyczałem na Trawę, że nie dość, iż śpi na moim łóżku, to jeszcze pościel paćka mi krwią. Ależ ona poczerwieniała! Będą z niej ludzie. Słucha mnie i już nie patrzy na wszystkich wilkiem. Wysłałem ją do szwalni, niech ją tam ubiorą jak należy. Dopiero po fakcie zastanowiłem się: jak ona wyjaśni im, co jej potrzeba, jeśli jeszcze przez co najmniej trzy dni nie będzie mogła mówić? Jednak jakoś wyjaśniła, gdyż wróciła w skórzanych spodniach do jazdy konnej i bezrękawniku, poza tym umyta, z włosami całymi mokrymi. Dopiero wtedy zorientowałem się, że oczy ma nie czarne, tylko zielone.

 Zjedliśmy śniadanie w kuchni, żeby było szybciej. Przypomniałem sobie, że Trawie nie wolno jeść nic gorącego, i kazałem podać jej zimną wczorajszą kaszę. Spojrzała na mnie z taką nienawiścią, aż mi się zrobiło zimno.

 – Coś ty? Przecież nie wolno ci ciepłego – powiedziałem, choć nie miałem zamiaru usprawiedliwiać się przed niewolnicą. W odpowiedzi poczerwieniała jeszcze mocniej, niż poprzednio. – Jedz, bo znowu padniesz jak wczoraj – rozkazałem.

 Z nieukrywanym obrzydzeniem wmusiła w siebie kilka łyżek, ale mleka wypiła prawie cały kufel. Skończyłem ogryzać tylną nogę prosiaka, wyrzuciłem kość przez okno psom i kazałem Trawie iść ze mną. Bardzo chciałem popatrzeć na zaury.

 Przed klatką stało kilku mężczyzn, a kobiety tłoczyły się opodal. Mniejszy zaur biegał w kółko po klatce, drugi leżał pod tylną ścianką, patrząc rozbieganymi oczami spod na wpół przymkniętych powiek. Zrozumiałem, że on jest najniebezpieczniejszy. Widzieliście latającą żmiję? Tak samo siedzi na gałęzi w zasadzce, a potem – jak nie skoczy! Głupia Trawa rozepchnęła mężczyzn, podbiegła do krat i przez nie wyciągnęła ręce do zaurów. Mądry człowiek zostałby bez rąk, ale głupiej się udało. Biegający zaur zaczął się do niej łasić, nawet drugi podszedł i potarł się głową. Zajrzałem do poidła, pobiegłem do studni i przyniosłem wodę. Oba zaury od razu podbiegły i wypiły do ostatniej kropli, musiałem więc obrócić jeszcze raz. Jeden z zaurów wrócił do swojego kąta, za to drugi czekał na mnie, stanąwszy przednimi łapami na krawędzi poidła i, gdy zacząłem wylewać wodę, nieoczekiwanie wyciągnął łapę i – daję słowo! – pogłaskał mnie po ręce. Żebym tak poszedł w zero! Tak szybko, że nawet nie zdążyłem odskoczyć. Ale, ponieważ nie chwycił mnie pazurami, wyciągnąłem do niego rękę i też pogłaskałem go po głowie. A on potarł się policzkiem o moją rękę! No i co, myślicie może, że jestem tchórzliwszy od swojej niewolnicy? Chociaż, jeśli mam być szczery, przestraszyłem się porządnie. Zaur z kąta wydał krótki dźwięczny trel, mój odwrócił się do niego i postukał się łapą po łbie, a tamten w kącie zwinął się w kłębek i nakrył głowę skrzydłem.

 – Pewnie umrze – powiedział Peter Pałka. – Nic nie je i nie biega. Widocznie za mocno go poturbowaliśmy.

 Głupi on nie jest, ale walczy pałką. Mówi, że dobra pałka, okuta żelazem, przetrąci każdy miecz. Oczywiście, że przetrąci. Ale najpierw trzeba ją podnieść i zamachnąć się nią. A zanim zdążysz to zrobić, miecz obetnie ci ręce i nogi i zrobi dziesięć dziurek w ciele. Tak więc mam na ten temat inne zdanie.

 – Ciebie przy tym nie było – zauważył Pots. – Spałeś na wozie.

 Peter zgodził się, mrucząc coś o tym, że dziwne, iż zasnął zaraz po posiłku; po czym przyniósł długą żerdź i poszturchał zaura w bok. Zaur wypuścił pazury, wyciągnął łapę i pociągnął żerdź do siebie. Peter roześmiał się, pociągnął żerdź i przeciągnął zaura do samej kraty. Ale wtedy my się roześmialiśmy, gdyż zaur oparł się o ziemię ogonem, tylnymi łapami chwycił kratę i, przebierając przednimi po żerdzi, podciągnął Petera. Pots i Burt przyszli Peterowi z pomocą. Początkowo wydawało się, że go pokonają, zyskali prawie metr żerdzi, ale zaur ryknął i krótkimi silnymi zrywami zaczął podciągać trzech silnych chłopów do kraty, aż drugi koniec żerdzi oparł się o karmnik.

 – Stop! – ryknął Pots – Bo zaraz rozwalimy karmnik. Wszystko było uczciwie, chłopcy, ale przegraliśmy.

 – Ta bestia nie umrze – zauważył z zadowoleniem Peter.

 – Ech wy, w trójkę nie poradziliście sobie z jednym – mruknął lekceważąco ktoś z widzów.

 – Bo on oparł się łapami o kratę – usprawiedliwiał się Peter.

 – A tobie kto tego bronił? On łapą, ty butem.

 Ale nagle wszyscy umilkli, bo drugi zaur podbiegł do pierwszego, polizał go w nos i zaczął łamać żerdź na kawałki o długości polana. Bez żadnego wysiłku. Weźmie przednią łapą, tylną stanie na koniec, naciśnie pośrodku – i gotowe. Tak całą żerdź połamał na kawałki. Burt tylko czapkę nasunął na czoło, żeby mu było wygodniej drapać się w kark. A zaur skończył łamać i wszystkie kawałki przerzucił w najdalszy kąt – tak szybko, że pierwsze jeszcze nie doleciało, a ostatnie już było w powietrzu. Dwa zostawił. Ten, który ciągnął żerdź, kilka razy uderzył się łapą po głowie. Podniosły zostawione kawałki, zaczęły je gryźć i w minutę zjadły, aż brzuszki im się zauważalnie wydęły. Poszły do kąta, położyły się obok siebie, nakryły się skrzydłami.

 – Kto mógł wiedzieć, że one żrą drewno? – Nie wiadomo na kogo obraził się Burt. – Dałem im do karmnika najlepsze kawałki mięsa, a one nawet na nie nie spojrzą.

 – Niech poleży do jutra, może jeszcze zjedzą. A jak nie, to damy psom – zauważył ktoś.

 – Myślisz, że psy będą jadły takie stare mięso?

 – No to natrzemy je trucizną i potrujemy noriki. Zawsze będzie z tego jakiś pożytek.

 – Nie ma na co czekać – powiedział Pots. – Najadły się i śpią. Syty zaur może spać dwa dni.

 Po obiedzie znów zaprowadziłem Trawę do babki Kandy. Obejrzała język, zmieniła opatrunek na ramieniu, po czym wygoniła Trawę za drzwi, mówiąc, że będzie rozmawiała ze mną.

 – Masz pierwszą niewolnicę, niedługo będziesz wojownikiem… – Zaczęła babka. – Ta diablica podsłuchuje. – Rzuciłem się do drzwi, otworzyłem. Trawa rzeczywiście podsłuchiwała.

 – Albo zaraz pójdziesz do mojej sypialni, albo do stajni, gdzie dostaniesz dziesięć batów – powiedziałem surowo. Posmutniała i powlokła się do domu.

 A babka opowiedziała mi o mężczyźnie, kobiecie i skąd się biorą dzieci więcej, niż dowiedziałem się przez całe dotychczasowe życie. No, o tym, co robią mężczyźni, to wiedziałem, ale co się dzieje u kobiet, wyobrażałem sobie bardzo mgliście. Babka wyjaśniła mi, dlaczego Trawa zakrwawiła prześcieradło, od czego zależy, czy będzie syn, czy córka, co i jak trzeba zrobić, żeby kobieta znowu zechciała i tak dalej. Jeśli wcześniej to, co wiedziałem, było jak oddzielne klepki, to teraz z tych klepek można byłoby złożyć całą beczułkę.

 Im bliżej było do wieczora, tym bardziej Trawa mnie się bała. Wiedziałem już, dlaczego, ale nie zamierzałem jej mówić, że na razie nie będę jej ruszał. Niewolnica ma bać się gospodarza. Zaszyła się w kącie, z podbródkiem na kolanach i siedziała cicho jak myszka. Tylko oczy jej błyszczały. A ja zająłem się otrzymaną od ojca zepsutą kuszą. Była piękna, z ciemnego drewna, cała pokryta srebrną inkrustacją. Ojciec na wyprawie uderzył nią kogoś po głowie, pękła i zrobiła mu się niepotrzebna. Zacząłem ostrożnie ją rozbierać, żeby jutro wypytać rzemieślników, produkujących kusze i dobre łuki, które części da się naprawić i skleić, a które trzeba będzie wymienić. Gdy zrobiło się zbyt ciemno, by pracować, powiedziałem Trawie, żeby położyła się na tapczanie, a ja będę spał na swoim łóżku. Ależ się ucieszyła! Ale i tak, dopóki nie zasnąłem, ilekroć spojrzałem w jej stronę, widziałem jej oczy, błyszczące jak dwie gwiazdeczki i wpatrzone we mnie.

 Było jeszcze całkiem ciemno, gdy Trawa mnie obudziła, położyła palec na ustach i zaprowadziła… no, jak myślicie dokąd? Oczywiście do stajni. Podobno ktoś tam rozmawia, tylko w niezrozumiałym języku. Poszliśmy – rzeczywiście. Zrozumiałem nawet parę słów – to był stary język kościelny. Ostrożnie wyjrzałem – zaury! Albo między sobą rozmawiają, albo modlą się do swojego boga. Jeden przesunął łapy przez kraty, obmacuje zamek. Trawa obejrzała się na mnie, uśmiechnęła się i nacisnęła palcem mój podbródek. Nie od razu zrozumiałem, że ona się ze mnie śmieje, byłem pochłonięty czym innym. Język kościelny u nas zna tylko jeden człowiek. Dawniej był skryptorem, to znaczy przepisywał księgi, potem znudziło mu się siedzieć w monastyrze i został wojownikiem w służbie ojca. Obudziłem go, uprzedzając od razu, że wszystko, co zaraz zobaczy i usłyszy to straszna tajemnica. Jeśli ją wypapla, ojciec go znajdzie nawet pod ziemią i znowu zakopie go w niej żywcem. No i zaprowadziłem pod stajnię. Zaury już nie paplały, tylko z rzadka przerzucały się frazami. Skryptor kilka minut słuchał, oczy coraz bardziej wyłaziły mu z orbit, po czym zaczął szeptem tłumaczyć:

 – Powinieneś był mnie słuchać, gdy ci krzyczałam, żebyś poleciał za mną. Nie siedzielibyśmy w tej klatce.

 – Posłuchałem ciebie, wyrżnąłem w tą gałąź i dlatego tu siedzimy. Papa słusznie mówi: „Posłuchaj kobietę i zrób na odwrót”.

 – On to mówił o ludzkich kobietach. A ty masz mniejszy mózg niż najgłupszy człowiek.

 – Ty też. Oboje razem mamy mniej mózgu niż jeden homo.

 – Nieprawda! Najgłupszy smok jest osiem razy mądrzejszy od najmądrzejszego człowieka.

 – Mózg ludzki waży ponad kilogram. A twój na razie tylko trzysta gramów. Jak będziesz starsza, zobaczymy, kto będzie mądrzejszy.

 – I tak jestem starsza od ciebie.

 – Nie, ty po prostu urodziłaś się wcześniakiem. A ja zostałem poczęty wcześniej! Czytałaś choć raz Kroniki Kontaktu?

 – Ważne jest życiowe doświadczenie. A ja mam go więcej!

 – O kilka dni. No to w takim razie powiedz, co dalej robić.

 – Mama by wymyśliła. Ona nie dałaby się wsadzić do klatki.

 – Nam do niej daleko. Za tydzień albo dwa wyczerpią się akumulatory i zostaniemy tu na zawsze. Nawet, jeśli będziemy mieli potomstwo, zwyrodnieje i wymrze w drodze doboru naturalnego. Wszystko według Darwina. – Nie zrozumieliśmy słów „akumulatory” i „darwin”.

 Smoki na długo zamilkły. Cichutko odeszliśmy od stajni. Skryptor powiedział zdumiony:

 – Nie mogę uwierzyć. Smoki w starym języku spierają się, który z nich jest pierworodny! Barry, uszczypnij mnie. – Ja go nie uszczypnąłem, ale Trawa tak. Aż podskoczył i w milczeniu uderzył ją po karku, a po chwili dodał: – To trzeba przemyśleć, Barry. Nikomu na razie nie mów. To trzeba przemyśleć.

 Poszedłem dosypiać. Trawa była bardzo niezadowolona, że zawołałem Skryptora, ale to jej sprawa. Bez niego nic byśmy nie zrozumieli. Nie mogłem zasnąć. Myślałem w kółko, jakie nieprawidłowe te zaury. Niby podobne do naszych latających jaszczurów, a jakże inne. Jaszczury nie mają uszu, a te mają. Jaszczury mają wszystkie zęby równe, a te mają kły jak psy. Skrzydła – te mają małe, na grzbiecie, jako trzecią parę kończyn, a jaszczury mają długie na kilka metrów, połączone z przednimi kończynami. Skrzydełka – no cóż, one same wiedzą, z jakimi im wygodnie latać. A Burt mówił, że latają naprawdę dobrze, machając skrzydełkami często, jak świergotki. Gdyby nie ta gałąź, o której mówili, pewnie by ich nie złapano. I w ogóle one są za szybkie. Jaszczur jest powolny. No, może się rzucić polując, ale potem zamiera. A te cały czas są takie. Gdy samica biegała po klatce, aż rzucało nią przy skręcaniu. No i kto nauczył je mówić, i to w świątynnym języku? A niby to zaury jak zaury. Dziwne...

 W końcu zasnąłem i obudziłem się, kiedy było już jasno. Wyjrzałem w okno. Trawa niosła wodę do stajni. Pewnie ktoś jej to przykazał. Poszedłem do kuchni, Zjadłem w kuchni, po czym zaniosłem łożysko kuszy do warsztatu. To blisko, zaledwie dwie ulice od nas. Mistrz i czeladnicy długo kiwali głowami, mlaskali, ale w końcu wzięli się do sklejania. Najpierw jednak rozszczepili do końca na cztery części, psując przy tym całą srebrną inkrustację. Aż zawyłem. Mistrz jednak powiedział, że to nie moja sprawa i że uczenie jego, mistrza, to psucie przedmiotu. Obsmarowali części klejem, złożyli je razem, owinęli szmatą posmarowaną jakimś łojem, obciągnęli surowcowymi rzemieniami, i jeszcze ścisnęli drewnianymi kleszczami. Mistrz kazał mi przynieść pozostałe części. Powiedział, że jeśli będę je sam składał, na pewno gdzieś spartaczę, a potem cięciwa się urwie i zostanę bez oka. Oczywiście przesadzał, widać było, że chce sam pomozolić się nad taką rzadką rzeczą, nie kłóciłem się z nim jednak. Jasne było, że on to zrobi lepiej ode mnie i maszynka będzie lepiej strzelała.

 – Dziękuję – powiedziałem mu.

 – Za co mi dziękujesz? – Zdziwił się. – To moja praca i biorę za nią pieniądze.

 O pieniądzach jakoś nie pomyślałem. Trzeba przygotować ojca, żeby to nie było dla niego niespodzianką, gdyż może w podnieceniu odmówić płacenia i kusza pozostanie u mistrza. W warsztacie będą temu tylko radzi, gdyż taką maszynkę będą mogli potem sprzedać trzykrotnie drożej, niż kosztuje naprawa. Albo powieszą ją na ścianie, żeby wszyscy widzieli, czym się tutaj zajmują. Obmyślałem to sobie, biegnąc po części kuszy. Znalazłem ojca i powiedziałem:

 – Tato, ja twoją kuszę zaniosłem do warsztatu do naprawy. Ależ tam się ucieszyli! Powiedzieli, że to maszynka rzadkiej piękności. Długo się wahali, ale wzięli się do naprawy.

 – Po pierwsze, nie moja, tylko twoja. Po drugie, oni ją już widzieli. Drogo wycenili, łajdaki! A po trzecie, czym chcesz zapłacić za naprawę? – zapytał ojciec ze śmiechem.

 – Dziewkę sprzedam – palnąłem zasępiony. Nic więcej cennego nie miałem. No, jeszcze hełm i miecz, ale miecz był dla mnie ważniejszy od kuszy.

 – Źle myślisz – zaprzeczył ojciec. Jeśli tak mówi i nie gniewa się, to znaczy, że jest wyjście.
 – Oddam dziewkę do pralni.

 – Będzie tam pracowała dwa lata.. Myślisz, że w warsztacie zgodzą się czekać dwa lata? I dlaczego wszystko zwalasz na dziewkę? Czy to jej kusza?

 – No to nie wiem.

 – Masz hełm. Za rok go nie włożysz.– Ojciec miał rację, hełm już wkładałem z trudem.

 – Hełmu nie wystarczy.

 – Przynieś miecz.

 – Po co?

 – Przynieś

 Przyniosłem.

 – Porównajmy. – powiedział ojciec i wyciągnął swój, tak szybko, aż stal zadzwoniła.

 Wyjąłem swój, choć wszystko było jasne. Mój był krótszy o dwie dłonie i trzy razy lżejszy.

 – Sprzedaj miecz i zostaw dziewkę w spokoju. Nie po to wiozłem ją dla ciebie.

 – A co mi zostanie?

 – Weź z naszej zbrojowni zwykły miecz. Czas, byś zaczął przywykać do broni dorosłych.

 – Sprzedaż miecza, nawet takiego, to ostateczność. – wymamrotałem całkiem ponuro.

 – No dobrze. – Znów roześmiał się ojciec. – Dodam ci kilka monet. Ale ten miecz powieś na ścianie i nigdy więcej go nie ruszaj. Ucz się pracować prawdziwą bronią.

 Wróciłem do siebie w znakomitym nastroju. Niedługo będę miał prawdziwą bojową kuszę. I to nie jakąś tam zwykłą, tylko okrytą już bojową sławą. Będę ją miał długie lata, a później przekażę swojemu synowi.

 Drzwi gwałtownie się otworzyły, do pokoju wpadła wzburzona Trawa i zamierzała dać nura pod łóżko. Już stojąc na czworakach zobaczyła mnie. I oboje zamarliśmy w bezruchu. Rozkoszowałem się chwilą, dopóki nie zrozumiałem, że sprawa jest kiepska. Trawa była śmiertelnie przerażona. We włosach miała siano, wszystkie guziki na bezrękawniku były wyrwane z kawałkami materiału. A pod nim wypukłości jak u dorosłej. Pots powiedział, że jest niedowarzona. Doigrała się w stajni… Ojciec zawsze mówił, że trzeba bronić swoich ludzi…

 Wziąłem Trawę za rękę i pociągnąłem na podwórze. W pierwszej chwili się temu sprzeciwiała, potem powlokła się za mną jak skazana. Na szczęście na podwórzu spotkałem Dogu, który na wyprawach był pierwszym po ojcu.

 – Dogu, każ trąbić na zbiórkę – zażądałem.

 – Strateg kazał?

 – Ja kazałem.

 – Sprawa jest tego warta?

 – Tak.

 Obaj z ojcem szanujemy Dogu właśnie za to, że nie zadaje zbędnych pytań. Nie poszedł wyjaśniać u ojca, co i jak, tylko od razu kazał trąbić na zbiórkę. Już po trzech minutach oddział zebrał się na podwórzu. Wlazłem na wóz, wyprężyłem się na całą wysokość i postawiłem Trawę obok siebie. Ojciec wyszedł na galerię pierwszego piętra, oparł ręce na balustradzie i z zainteresowaniem patrzył na to, co się dzieje. Wojownicy żartowali, ale nie opuszczali szeregu. Tylko Burt nie żartował. Trzymał przy prawym oku kawałek surowego mięsa i wyglądał na okropnie zażenowanego. Wiedziałem już, że to on, ale nie chciałem go pogrążać do reszty. Lubiłem go, gdyż uczył mnie jeździć bez siodła i często krył moje drobne świństewka.

 Podniosłem rękę i wszyscy ucichli.

 – To moja kobieta! – Popchnąłem naprzód Trawę. – Czy ktoś chce temu zaprzeczyć?!

 Nikt się nie odezwał. Gdyby zaprzeczył, wyzwałbym go na pojedynek na kusze, bo z mieczem, piką czy łukiem nie miałbym żadnych szans przeciw dorosłemu. Co innego kusza: ładuje się ją długo, strzela mocno, a we mnie trudniej trafić niż w dorosłego. Zresztą wystąpienie przeciwko mnie byłoby pewnym samobójstwem, gdyż potem trzeba byłoby bić się z moim ojcem – ale mimo to kolana mi drżały. Poczekałem minutę, patrząc na wojów, i dodałem:

 – Jeśli ktoś z was chociaż palcem tknie moją kobietę, obetnę mu ten palec aż po łokieć.

 – Przecież bez tego palca żona go z domu wygoni – powiedział basem Peter Pałka.

 Gruchnął ogólny śmiech, ktoś aż padł na kolana, jedną ręką trzymając się za brzuch, a drugą rozmazując po twarzy łzy. Nie zrozumiałem, co Peter powiedział tak śmiesznego, ale ostatnie słowo musi należeć do komandora. Poczekałem, aż będzie cicho i powiedziałem surowo:

 – Pomogę biednej kobiecie.

 Kolejna salwa śmiechu gruchnęła nad szeregiem. Woje chwytali się jeden drugiego, czkali i wycierali łzy. Spojrzałem na ojca.

 – Prawidłowo, synu. Tak ich, paskudników! – Ojciec mrugnął do mnie porozumiewawczo.

 Śmiech wreszcie ucichł. Podniosłem rękę i zakończyłem:

 – Wszyscy wolni. Możecie się rozejść.

 Zeskoczyłem z wozu i poszedłem do domu, a Trawa za mną. Dopiero na schodachd doszło do mnie, co miał na myśli Peter i jak woje zrozumieli moją odpowiedź. Nie, ja nie jestem taki tępy, po prostu w tamtej chwili bardzo się bałem, że ktoś jednak wyzwie mnie na pojedynek i wszystko mi się pokręciło w głowie. Zrobiło mi się bardzo wstyd i zachciało mi się śmiać. No i usiadłem, czerwony jak rak, na ostatnim stopniu i zacząłem śmiać się – tak, jak woje parę minut temu, piszcząc i czkając. Trawa usiadła koło mnie i też się roześmiała. Podszedł ojciec, położył mi rękę na ramieniu i długo chciał coś powiedzieć, ale też tak się śmiał, że nie mógł.

 – Myślałem, że ten rok moi ludzie będą nazywali „rokiem, w którym Tur chodził na północ” – zdołał wreszcie wypowiedzieć. – A wiesz, coś ty zrobił? Będą ten rok nazywali „rokiem, w którym młody Bar zwołał zbiórkę”.

 Przed kolacją poszedłem do stajni. Trawa chodziła za mną jak przywiązana. Nie wiedziała jeszcze, że po tej zbiórce nasz dwór jest dla niej najbezpieczniejszym miejscem w całym mieście. Nikt nie ośmieli się ją zaczepić.

 Karmnik zaurów był pełen owsa, a poidło wody. Zaury siedziały pośrodku klatki i były bardzo smutne.

 – Witajcie, dzieci – powiedziałem.

 Samica spojrzała na mnie i ponuro skinęła głową. Samiec rzucił przelotne spojrzenie na drzwi klatki i położył się na podłodze. Ja też spojrzałem na drzwi. Drzwi jak drzwi. Podszedłem bliżej i zobaczyłem w dziurce od klucza złamany zardzewiały gwóźdź. Więc o to chodziło! Zaury próbowały otworzyć klatkę, ale im się nie udało.

 – Ech wy, niedorajdy! – powiedziałem i końcem kindżału wydłubałem odłamek gwoździa.

 Trawa podbiegła do mnie i cmoknęła w policzek. Wszystkie dziewczyny nic, tylko by się całowały. Zresztą dotyk jej warg był miękki i przyjemny. Samica też podbiegła, wysunęła mordę jak daleko mogła między prętami klatki i liznęła mnie w drugi policzek. Obśliniła.

 – Barry. – Z tyłu podszedł Burt i położył rękę na prętach klatki.

 Trawa z przerażeniem schowała się za moim plecami, a samiec w tej samej sekundzie zerwał się z miejsca i rzucił się na Burta. Odgryzłby mu rękę, gdyby nie to, że samica równie błyskawicznie przecięła drogę samcowi i uderzyła go ramieniem w pierś. Oboje potoczyli się po podłodze, a Burt z opóźnieniem oderwał rękę od klatki.

 – Przepraszam cię – kontynuował. – Nigdy więcej nie tknę twojej dziewki.

 – Dziękuję – odrzekłem i uderzyliśmy się po dłoniach na zgodę.

 Zaury leżały na podłodze i patrzyły na nas. Potem samica szturchnęła samca nosem w ramię i dwa razy klepnęła się w czoło, a samiec polizał ją w nos.

 – …W ręce miecz, pędzi na nas. A Peter konaka w łeb trzask! I oba fik! Ja mu: „Coś ty narobił, sukinsynu? Takiego konaka ubić!”. A on: „Wybacz, nie wytrzymałem. Bardzo wygodnie już było”.

 – …I mówi tak spokojnie: „Pomogę samotnej kobiecie”. Niech pójdę w zero, jeśli kłamię!

 – …Skąd masz taki siniak pod okiem?

 – Pewna kobyłka przyłożyła mi kopytem.

 Doszedłem do swojego miejsca i usiadłem. Ojciec klasnął i zaczęła się kolacja. Trawa stała za moimi plecami i usługiwała mnie, i tylko mnie! Nawet ojciec i mama mają tylko jedną niewolnicę na dwoje, a ja mam swoją własną! Mówiłem przecież, że będzie z niej pożytek! Ale przed nocą jakby ją podmieniono: znowu zaczęła się mnie bać.

 – Boisz się mnie? – zapytałem prosto z mostu. Skinęła twierdząco. – Nie masz czego. Postaram się nie ruszać ciebie przez dwa najbliższe lata. Twój orga… nizm nie dojrzał jeszcze do noszenia w łonie dzieci.

 – ‘ego?

 – Nie rozumiesz? Jesteś jeszcze za młoda, żeby rodzić.

 – Jesteś m’odhy ode mnie. – Zaczynała już mówić, ale było jej jeszcze trudno.

 – Męskie zadanie proste. Najważniejsze: puścić igreka, a nie iksa, żeby był syn, a nie córka.

 – Kogo puścić?

 – Ciemna jesteś. – I szczodrze podzieliłem się z nią wiedzą, otrzymaną w ciągu ostatnich dni od babki Kandy i Skryptora. – Igrek i iks – to takie dwa malutkie… no, spermatozaury. Coś w rodzaju białych kijanek z ogonkami, tylko sto razy mniejsze. A ty masz w brzuchu coś w rodzaju ikrynki. Igrek do niej dociera, włazi do środka i zaczyna rosnąć. A potem rodzisz syna. A jeśli iks będzie pierwszy, będzie córka.

 – A ogonek?

 – A gdzie podziewa się ogonek u żaby? Kijanka go ma, a żaba nie. Tak samo i tutaj.

 Zanim Trawa przetrawiła nowe wiadomości, minęło chyba z dziesięć minut.

 – Aleś ty mądhy!

 – Śpij.

 Rano Trawa znowu mnie obudziła i pośpieszyliśmy do stajni. Zaury znowu rozmawiały, a Skryptor spał w naszej kryjówce. Zbudziłem go. Jak się okazało, siedział tu od wieczora, ale zaury spały, i on też zasnął. Zaczął tłumaczyć:

 – Ależ tu głupia doba! – poskarżyła się samica.

 – Przyzwyczaimy się. – zauważył filozoficznie samiec.

 – Nie chcę się przyzwyczajać. Chcę do domu. Dlaczego musimy ukrywać, kim jesteśmy?

 –Nie wiem. Ale papa tak robił, kiedy siedział w klatce.

 – On był na zwiadzie i chciał trafić do klatki. A nas wsadzili siłą.

 – Z zaskoczenia. Kto mógł przewidzieć, że zaraz zawalczą? Teraz wiem, co należało zrobić.

 – Oni są po prostu nienormalni.

 – Nie, to my jesteśmy nienormalni. Specjalnie zdjęliśmy pasy i okulary, żeby upodobnić się do dinozaurów. A oni polowali, zdobywali mięso. Podziękuj losowi, że nie zdjęli z nas skór.

 – A gdyby zobaczyli na nas pasy, cała konspiracja zaraz by pękła.

 – Za to tak z konspiracją wszystko w porządku. Siedzimy w klatce, ssiemy łapki, a akumulatory się rozładowują. – „Znowu te «akumulatory». Co to takiego?” – pomyślałem.

 – Mówiłeś, że otworzyć zamek – to pestka. Dwa dni trzymałam gwóźdź za policzkiem.

 – Skąd miałem wiedzieć? We wszystkich sensofilmach – (kolejne nieznane nam słowo) – pokręcą gwoździem i już. Trzeba tylko wymacać sprężynę.

 – Dostanie nam się od mamy… Aż strach wracać. – poskarżyła się samica, a po dłuższym milczeniu dodała, już prawie z płaczem: – Tiomka, ja chcę latać.

 – Przywykaj. Niedługo nie będziemy mogli latać w ogóle.

 – Biedactwa – wyszeptała Trawa.

 – Wtedy pewnie umrę.

 – Nie umrzesz. Żaden smok od tego nie umarł. Ciocia Elli nie latała przez dwieście lat. A my będziemy mogli trenować na Księżycu.

 – W tych katakumbach… Jakiż tam lot? Sala ma tylko dziesięć kilometrów długości i niecałe pięćset metrów szerokości. I do tego nawtykali tam kolumn.

 Znowu zapadło przygnębiające milczenie.

 – Jak myślisz, czy ludzkie dziecko nas nie wyda? – zapytał samiec.

 – On się nazywa Barry. Jeśli on nas wyda, to ja zjem własny ogon.

 Obejrzałem się z dumą na Trawę. Wskazała palcem zaury i poklepała się dłonią po głowie. Wskazała na mnie, na plecy Skryptora i palcami wyobraziła nogi idącego człowieka. Że niby to ja sprowadziłem Skryptora. Pokazałem jej pięść.

 – On coś podejrzewa, to pewne. Ciekawe, ile wie? Może mu się przyznamy?

 – Trzeba zacząć od dziewczyny – zaprzeczyła samica. – Otworzy klatkę, a my ją uratujemy.

 – Jak?

 – Zwrócimy do domu, głuptasie! A jeśli zechce, zabierzemy ją do naszego czasu.

 Tłumacząc tą wypowiedź, Skryptor odwrócił się i mrugnął porozumiewawczo do Trawy.

 Trawa zerwała się i uciekła do domu.

 – Jak ona otworzy klatkę? Jest jeńcem, jak i my.

 – Nie jeńcem, a niewolnicą. Zajrzałbyś choć raz do podręcznika historii Sekondu. Tu połowa kobiet była niewolnicami… to znaczy, jest nimi obecnie.

 – Ja za to znam historię Ziemi od powstania na niej życia do pojawienia się człowieka.

 – Nie jesteśmy na Ziemi!

 – Nie jesteśmy – przyznał samiec. – A pomyślałaś, co z dziewczyną zrobią, jak ją złapią?

 – A co zrobią z Barrym, jeśli nas uwolni?

 – Jesteś głupia. On jest ważną szychą. Widziałaś, jaką on ma broń, a jaką mają żołnierze? Jego na pewno za to nie ukarzą tak mocno.

 – A samiczkę i tak trzeba uratować.

 Wstałem i poszedłem do domu. Te pasożyty chciały, żebym otworzył klatkę, a potem zamierzały porwać moją kobietę! Nieźle to wymyśliły. A figa! A gdybym nie poznał ich zamiarów? Ręka sama spoczęła na kindżale.

 Trawa leżała na swoim tapczanie z kolanami pod brodą i pochlipywała.

 – Beksa – powiedziałem.

 – Du’niu – odrzekła, cały czas chlipiąc. – Czy płakałam, kiedy mnie przypalałeś żelazem?

 – Dlaczego więc płaczesz teraz?

 – Pomyślałam, kim będę po pow’ocie do domu. Komu tam będę potrzebna z twoim piętnem na ‘amieniu?

 – Nikomu cię nie oddam. A jak uciekniesz, znajdę cię na dnie morza i spiorę jak należy.

 – Nic nie z’ozumiałeś.

 Rano Trawa zaczęła przesuwać meble. Postanowiła odgrodzić sobie kącik szafami. Pozwoliłem i wyszło całkiem nieźle. Z prawej strony zrobiło się mniej miejsca, za to z lewej więcej i ściana się odsłoniła. Można będzie na niej powiesić hubarską makatę, a na niej – broń: kuszę ze srebrną inkrustacją i miecz, który ojciec i tak kazał mi powiesić na ścianie. Ojciec spojrzy i powie: „Wiesz co, synu, tu brakuje dwu kindżałów” i być może podaruje mi je – w pochwach ze złotymi wzorami. A jak nie podaruje, to za parę lat sam je zdobędę w pochodzie.

 Po śniadaniu poszedłem do zbrojowni, wybrałem sobie hełm i miecz i udałem się na podwórze trenować. Miecz był ciężki i powolny. Burt wycisnął ze mnie siedem potów i był bardzo niezadowolony. Sam wiedziałem, że kiepsko mi idzie, ale po prostu nie byłem w stanie szybciej odbijać ciosów tą bryłą metalu, której ktoś przez niedopatrzenie nadał kształt miecza. Potem podszedł Bars, kazał mi wziąć tą bryłę do lewej ręki i wycisnął kolejne siedem potów. Obaj kiwali głowami z dezaprobatą. Gdy już myślałem, że męki się skończyły, kazali mi robić pompki, po czym dali mi łuk i kazali strzelać do tarczy. O dziwo, kiedy celowałem spokojnie, prawie wszystkie strzały chybiły, ale gdy Bars obrócił mnie plecami do tarczy i kazał strzelać z półobrotu na komendę „Stepowy!”, poszło mi lepiej, choć ręce ciągle mi drżały i połowa strzał poszła obok tarczy.

 Gdy kołczan opustoszał, podbiegła Trawa i zaczęła zbierać strzały. Usiadłem zmęczony na kłodzie. Trawa przyniosła strzały i poprosiła o pozwolenie na parę strzałów. Pozwoliłem. I – co powiecie? – pięć strzał jedna za drugą trafiło do tarczy! Dwie w łokcie, dwie w ramiona, a ostatnia prosto w serce. Ależ Trawa była z łukiem piękna! Szerokie ramiona, cienka talia, długie nogi, włosy jak słońce. Ojciec miał rację: nie oddam jej nawet za dziesięć konaków.

 – Z dziewki może być pożytek – ocenił Bars. Trawa uśmiechnęła się z dumą, ale gdy Bars rozkazał jej: – Kładź się na ziemi mordą w dół! – uśmiech znikł i spojrzała żałośnie na mnie.

 – Kładź się, kładź, nie obrazimy cię. – uśmiechnął się Burt i Trawa się położyła.

 – Napnij brzuch – rozkazał Bars, wziął ją za nogi i kazał biegać na rękach trzy razy do tarczy i z powrotem. Potem podał jej łuk i powiedział – Teraz strzelaj.

 Dwie pierwsze strzały nie doleciały w ogóle do tarczy, dwie minęły ją minimalnie, a jedna, raczej przypadkowo, trafiła w tarczę, w miejsce, które mężczyźni pilnują najbardziej.

 – Ha! – podsumował Bars. – Ręce trochę słabe, ale oko celne. Barry, jeśli chcesz, poduczę ją i zostanie amazonką.

 – Można, gospodarzu? – poprosiła Trawa.

 – Jeśli będziesz się dobrze zachowywała, pozwolę – burknąłem.

 Nie mogłem jej przecież odmówić, jeśli pierwszy raz SAMA nazwała mnie gospodarzem. Zresztą dziewka naprawdę mądra.

 Koło stajni coś się szykowało. Wojownicy robili zakłady. Potem Peter wziął ze stosu niepiłowanego drewna długą żerdź i poszedł w kierunku kraty, a woje za nim. Trawa żałośnie spojrzała na mnie i pobiegła za nimi. Mogłaby mnie nie wzywać, ja też byłem ciekawy.

 Peter postanowił urządzić przeciąganie żerdzi. Zaury nie miały nic przeciwko temu. W pierwszej chwili odbiegły w najdalszy koniec klatki, ale gdy zobaczyły, że nie będą bić ich tą żerdzią, zbliżyły się. Samiec ochoczo chwycił koniec żerdzi, a samica stanęła z boku. Ze strony ludzi, obok Petera, zgłosili się do przeciągania Pots i sam Dogu, gdyż Burt bał się zbliżać do klatki. Woje długo przymierzali się do żerdzi, ale zaur spokojnie stał i czekał, oparłszy się jedną tylną łapą o kratę.

 – Popatrz no, on rozumie! Wszystko rozumie! – zdziwił się któryś z wojów.

 Zaur rzucił mu szybkie spojrzenie i zaczął powoli obgryzać koniec żerdzi. Wymieniłem spojrzenia ze Skryptorem. Obaj zrozumieliśmy, że zaury znają nie tylko język starożytny. Ale wtedy zaczęło się przeciąganie. Początkowo zdawało się, że zaur wygrywa. Ustawił się znowu w pozycji „stójka na ogonie”, oparłszy się obiema tylnymi łapami o pręty klatki. Ale Peter i Dogu też oparli się butami o pręty klatki i żerdź zamarła. Zaur nie mógł przesunąć łapy, żeby uchwycić ją dalej, a trójka silnych mężczyzn poruszyć jej ani o centymetr. Widzowie krzyczeli, uczestnicy robili się coraz bardziej czerwoni, na rękach ludzi i łapach zaura nabrzmiewały mięśnie, ale żerdź się nie ruszała. Nagle samica zrobiła krok naprzód, położyła łapę na żerdzi, wypuściła pazury i ścisnęła. Rozległ się trzask, żerdź pękła na pół. Samiec przekoziołkował przez głowę aż do tylnej ściany klatki, a ludzie padli na plecy. Samica zaniosła się wesołym śmiechem. LUDFZKIM śmiechem. Samiec, ciągle jeszcze leżąc na podłodze, zaczął bić się łapą w czoło. Woje ze skamieniałymi twarzami uciekli od klatki, zadźwięczały wyciągane jakby na jakiś sygnał z pochew miecze – woj czuje się lepiej z mieczem w ręce. Rozejrzałem się. Przy klatce pozostaliśmy tylko ja, Skryptor i Trawa. Samica już się nie śmiała, tylko rozglądała się z przerażeniem. Usiadłem przy klatce naprzeciw niej i pogłaskałem ją uspokajająco po szyi.

 – No i co, doigrałaś się? Teraz już wszyscy wiedzą, kim jesteście. Wiesz, co robią z tymi, którzy namawiają niewolnice do ucieczki? – zapytał Skryptor.

 – Nie. – odrzekła samica.

 – Obcinają im język, otóż to.

 – Jak się nazywasz? – zapytałem.

 – Szalla.

 – A on?

 – Artiom.

 – Co ja mam z wami zrobić?

 – Wypuść nas, proszę.

 – A wy mi ukradniecie Trawę. I dostanie mi się od ojca – odrzekłem. Samica rozpłakała się.

 – Co, mówiące zaury? – rozległ się za plecami głos ojca.

 – Oni nazywają siebie smokami – poprawił Skryptor.

 – Smoki? Czytałem, że to olbrzymie, potężne, oddychające ogniem zwierzęta.

 – Zgadza się, tylko że do ognia potrzebujemy specjalnego „smoczego kamienia”.

 – W takim razie jakim prawem wy, takie kruszynki, uważacie się za smoki?

 – Gdyby pan widział naszego ojca, to by pan tak nie mówił – obraziła się Szalla.

 – Więc jesteście skarłowaciałymi potomkami wielkich rodziców?

 – Nie jesteśmy skarłowaciali! My jeszcze wyrośniemy.

 – Czyżbyście byli… dziećmi?

 – Aha...

 – Ile macie lat?

 – Po trzy lata i cztery miesiące.

 – Święta czaro! Dlaczego w takim razie tak długo milczeliście?

 – Bo ojciec też kiedyś milczał w podobnej sytuacji – odpowiedziała Szalla.

 – Dla niego to był wstęp do kontaktu, a my chyba się wygłupiliśmy – sprostował Artiom.

 – No pewnie! Dogu, otwórz klatkę! Pokażę wam wasze pokoje. Nosicie ubrania?

 – Wszystkie rzeczy zostawiliśmy w kryjówce. I kamizelki, i czapkę.

 – Przyślę do was zaraz krawca.

 – Nie trzeba. Smoki raczej chodzą tylko w specjalnych pasach z kieszonkami.

 – Tato, poczekaj, ty nie wiesz, co oni zamyślili! – wtrąciłem.

 – Z tobą później porozmawiam – odburknął ojciec.

 Ludzie się rozstąpili i przez utworzone przejście ojciec poszedł w kierunku domu. Zaury uniosły się na tylne łapy, wzięły się za przednie i poszły za nim – prawie jak ludzie, tylko kołysały mocno całym zadem.

 – Skarżypyta! – syknęła na mnie Trawa.

 Spojrzałem na nią i pobiegłem za zaurami, a Trawa za mną. Zaury zatrzymały się i obie mordki zwróciły się w naszym kierunku.

 – Jeśli chcecie ukraść Trawę, to o tym zapomnijcie! Ona jest moja! – krzyknąłem.

 – Trawa jest dobra? – zapytała Szalla.

 – Tak.

 – Dlaczego w takim razie sam jej nie wypuścisz na wolność?

 Omal nie usiadłem na ziemi.

 – Poczekaj – przerwał Szalli Artiom. – Oni mają przecież obrót towarowo-pieniężny. Barry, jeśli chcesz, to my ci zapłacimy, a ty wypuścisz ją do domu.

 – Skąd weźmiecie pieniądze?

 – Polecimy do domu. Nie mamy waszych pieniędzy, ale przyniesiemy diamenty lub rubiny.

 – A szmaragdy macie?

 – Nie wiem. Trzeba byłoby zapytać ojca. Rubiny są w czerwonych laserach, a szmaragdów nie używamy w technice.

 – Tato, ile kosztuje dobra niewolnica?

 – Tyle, ile zechce za nią dać kupujący – odrzekł z uśmiechem ojciec. – Słyszałem, że kiedyś jedną sprzedano za hełm, wypełniony po brzegi grubymi perłami.

 Zaury poszeptały między sobą.

 – Nie mamy pereł, ale wypełnimy hełm diamentami. Można?

 Ojciec ze zdumienia aż podniósł brwi. Spojrzałem na Trawę. Ależ ona miała drapieżne oczy i zakłopotaną twarz! Cały hełm diamentów! Nie wiedziałem, ile kosztują diamenty, wiedziałem tylko, że są droższe od pereł. A ile kosztują perły, to wiedziałem. Za dwie można kupić konaka albo dziewkę. A całego hełmu wystarczy na wszystko: i na konaka, i na dziewkę, i na hubarski dywan na cały pokój, i na najlepszy miecz, i na wykupienie kuszy, i jeszcze bardzo, bardzo dużo zostanie. Jeśli sprzedawać po cztery perły na miesiąc, można przeżyć dostatnio całe życie. I to wszystko – za Trawę. Można oszaleć! A później można będzie wynająć wojów, znaleźć Trawę i ponownie ją porwać. I znowu będzie stała za moimi plecami, usługując mi przy posiłku – ale oczy będzie miała jak chory pies. Nie rozbłysną już zachwytem, jak wtedy, gdy oboje śmialiśmy się na schodach. I nigdy nie powie mi, że jestem mądry. Bo będzie mną gardziła. A jak ja będę się wtedy czuł?

 – Nie sprzedam Trawy – rzuciłem ponuro i odwróciłem się,. gdyż z moim gardłem zaczęło dziać się coś dziwnego. Jakbym próbował coś połknąć i nie mógł.

 – Prawidłowo, synu. Jesteśmy wojownikami, a nie handlarzami – pochwalił mnie ojciec.

 Na moim przedramieniu legły miękkie palce. Spuściłem oczy. Były prawie jak ludzkie, tylko zielone i bez paznokci.

 – Co mamy zrobić? – zapytała Szalla.

 – Dlaczego tak chcecie uwolnić tą dziewkę? – odpowiedział pytaniem na pytanie ojciec .

 – Bo Trawa jest dobra – powiedział Artiom. – Troszczyła się o nas.

 – Trawo, jesteś wolna – usłyszałem swój własny, ochrypły głos. Jakby to za mnie powiedział kto inny. I na pewno w tej chwili stałem się dorosły, gdyż zrobiło mi się bardzo smutno.

 – Zupełnie wolna? Mogę robić, co chcę?

 – Tak.

 – Dziękuję ci, Barry Daj mi na chwilę nożyk – poprosiła cicho Trawa.

 Podałem jej kindżał nie odwracając się. Szalla zapiszczała z przerażeniem, a ojciec krzyknął ze zdumieniem. Dopiero wtedy odwróciłem się gwałtownie.

 Trawa ścięła z ramienia kawałek skóry z moim piętnem! Sama z siebie. Krew ściekała po łokciu i kapała na ziemię. Jej oczy znowu były wielkie, czarne i przerażone.

 – Dobrze zrobiłam? –zapytała, blednąc w oczach.

 Ojciec odwrócił ją do siebie, spojrzał w jej źrenice i wymierzył jej kilka dźwięcznych policzków. Nie, żeby sprawić jej ból, ale przede wszystkim żeby nie straciła przytomności.

 – Bars, wina! Burt, babkę Kandę tutaj! Jedna noga tu, druga tam! – wykrzyknął.

 Obudziłem się i spojrzałem na ścianę domu, zbudowanego z grubych bierwion. Był to dom rodziców Trawy. Wyjechaliśmy odprowadzić smoki do miejsca, skąd wyruszą do swojego świata i po drodze zajechaliśmy do fortu, gdzie Trawa mieszkała.

 Gdzieś za ścianą zamuczała krowa. Nie chciało mi się wstawać. W forcie wstają wcześniej niż w mieście. Przewróciłem się na drugi bok i chciałem jeszcze podrzemać. Nie było gdzie się śpieszyć. Smoki powiedziały, że akumulatorów wystarczy jeszcze na tydzień, a do ich kryjówki było pół dnia jazdy.

 Pomimo zapewnień Trawy w forcie nie powitano nas zbyt uprzejmie. Ojciec w ogóle nie chciał tam wjeżdżać, ale Trawa prosiła. Gdy wartownicy podnieśli alarm, pomyśleliśmy, że to może się źle skończyć. Zatrzymaliśmy się, a Trawa pobiegła rozmawiać. Nie było jej bardzo długo, ale wszystko rozeszło się po kościach. Opowiedziała mi szeptem, że zażądała, by obejrzały ją babki i potwierdziły, iż jeszcze jest dziewicą. Babki obejrzały, ale mężczyźni kazali jej zdjąć opatrunek z ramienia, gdyż wydawało im się podejrzane, że rana jest akurat tam, gdzie stawia się piętno. Trawa skłamała, że przypadkowo zraniłem ją, ucząc walki na miecze. Potem zaczęli jej się czepiać, dlaczego jest bez obroży – wolne kobiety noszą obroże. Odpowiedziała, że teraz jest miastowa, a w mieście noszą obroże tylko kobiety wolne, ale biedne. Wtedy najbliższa rodzina omal jej nie zadziobała, ale stopniowo wszyscy doszli do wniosku, że warto mieć wpływowych kuzynów w mieście. Opowiedziała też wstępnie o smokach, ale gdy się pojawiły, i tak wzbudziły sensację, a nawet strach. A kiedy już wszyscy siedzieli przy ogólnym stole, ostrożnie mnie wypytywano, czy to prawda, że ona jest wolna i że uczę ją walki na miecze. Dałem słowo, że jest wolna, i równie ostrożnie opowiedziałem, że raz ją sprawdziliśmy. Z łuku strzela dobrze, w ogóle ma dobre oko, ale słabe ręce, co mogą potwierdzić Bars i Burt. A Peter opowiedział, jak ją broniłem. Dopiero wtedy naprawdę nam uwierzyli. Ale Trawie kazali jednak włożyć skórzaną obrożę niezamężnej dziewczyny. Miasto – to co innego, a tutaj wstyd pojawiać się na ulicy bez obroży.

 Z zewnątrz dobiegł dźwięk miecza i krzyki zachwytu. Wstałem i otworzyłem okno. Artiom stał na dwóch łapach, a w przednich trzymał po mieczu i kręcił nimi z niezwykłą szybkością. Miecze błyszczały ze wszystkich stron na raz. Czterech wojów próbowało podejść do niego z różnych stron, ale to było niemożliwe. Jeden wysunął się naprzód – i rozległ się brzęk, a jego miecz poleciał w bok. Woj pomasował dłoń, podniósł miecz i odszedł do widzów. Zachwycona Szalla zaklaskała. Smoczka siedziała na poprzecznej belce płotu: łapki z jednej strony, ogon z drugiej. Bardzo wygodnie.

 Artiom krzyknął i na sekundę zamarł z mieczem na ramieniu drugiego woja. Ten pokręcił bezradnie głową i też odszedł do widzów. Dwaj pozostali cofnęli się iwetknęli miecze w ziemię. Szalla gwizdnęła z radością, zesko0czyła z płotu i objęła brata.

 – Jap-jap-jap jorri! – wykrzyknął smoczek, podnosząc oba miecze w górę.

 Zrobiło mi się przykro. Ile bym nie trenował, nigdy się nie nauczę tak władać mieczem. A smoczek pierwszy raz wziął w łapę miecz dopiero przedwczoraj – i patrzcie, co wyprawia!

 Ziemia zadrżała. W oczy uderzył wir powietrza i kurzu. Na środku ulicy pojawił się smok. Olbrzymi, ciemnozielony, groźny. Spadł po prostu z nieba i zamarł, jakby był z kamienia.

 – Tato, widziałeś, jak walczyłem na miecze? Sam przeciw sześciu! – Rzucił się ku niemu Artiom.

 – Oj, tato! – zapiszczała ze strachem Szalla. – A mamy są z tobą?

 – Tato, pozwól, że cię zapoznam ze wszystkimi – trajkotał Artiom.

 – Zabraliście mamie nie wyregulowaną maszynę. Kto to wymyślił? – zapytał groźnie smok.

 – Ja – Szalla zrobiła się o głowę niższa, a jej ogonek przylepił się do brzuszka.

 – Tato, ale ona nic się nie zna na technice. Wdała się w babcię Tonarę. Nie słuchaj jej. Ona tylko zaproponowała, a ja zrealizowałem. – Przebił ją Artiom.

 – Wszystko jasne. Będziemy musieli zastosować niepopularne środki. – ogłosił smok.

 Artiom także podkulił ogon.

 – Kto tu chce obrazić moich gości? – Mój ojciec wyszedł naprzód.

 Głos miał niby groźny, ale jego oczy się śmiały.

 – Obrazić to za słabe słowo, zedrę z tych drani trzy skóry – odrzekł tym samym tonem smok i uścisnął rękę ojcu jak równemu. A tam, gdzie stała jego łapa, pozostało w ziemi wgłębienie.

 – No to w czym oni potem będą chodzili po świecie?

 – W czym matka rodziła!...

 Pod wieczór smoki odleciały. Wielki posadził maluchy na grzbiecie i machały nam łapami, dopóki nie przestaliśmy ich rozróżniać. Nigdy już nie zobaczę smoków. Powiedziały, że następnym razem zjawią się w tym świecie dopiero za sto lat.

 Jutro my także jedziemy do domu. Trawa pojedzie ze mną. Powiedziała, że nie chce ryzykować, bo takich, jak ja, nie spotyka się na ulicy. W sensie: bęcwałów. Inny zabezpieczyłby się na całe życie – a ja z bogactwa zrezygnowałem. Dlatego musi mnie pilnować. Jednym słowem, zadurzyła się we mnie po uszy. I to dobrze, bo ja też do niej przywykłem. Jest niezawodna. Będzie teraz siedziała przy stole po mojej lewej stronie. I do smoków też przywykłem. Jakbym znał je całe życie. Co chwilę wymyślały coś nowego. Bez nich będzie teraz bardzo nudno. A może one jeszcze wrócą? Jak myślicie?

 – Mamo, czy ty bardzo się na nas gniewasz?

 – Bardzo.

 – Mamo, przeprowadziliśmy próby. Twoja maszyna pracuje.

 Lobasti uśmiechnęła się, zgasiła ekran komputera i odwróciła się do dzieci.

 – No więc złóżcie sprawozdanie.

 – Zanurzyliśmy się w przeszłość o pięćset z czymś tam lat. Dokładnie powiemy, gdy przeliczymy lata sekondyjskie na standardowe. Już teraz możemy powiedzieć, że czas w przeszłości i teraz biegnie z tą samą szybkością. Zegarek, który wzięliśmy, nie śpieszy i nie późni się.

 – Jak określiliście, że trafiliście de potrzebnego continuum?

 Szalla spojrzała z dumą na Artioma.

 – To on wymyślił, mamo. Tylko w naszym continuum na granitowym postumencie stoi pozłacany prom. I w ogóle w najbliższych continuach w tym czasie na Sekondzie nie ma ludzi. Pojawią się dopiero za pięćdziesiąt albo więcej lat. Mamo, bardzo nas ukarzesz?

 – Powinnam, ale… – Lobasti nieoczekiwanie rozpłakała się, przyciskając do siebie dzieci.

 Przybiegła Catherine i zaczęła ją pocieszać. Smoczęta też:

 – Mamo, przecież wszystko dobrze się skończyło. Jesteśmy żywi, zdrowi, nawiązaliśmy kontakt z dwunogami. Zapraszają nas w gości.

 – Tak, wszystko dobrze. – Szlochała Lobasti. – Jesteście żywe, zdrowe, Wszystko dobrze…

 – Dzieci, kysz stąd. Widzicie, czym się skończyły wasze przygody. My wszyscy nadenerwowaliśmy się okropnie. Żywo do kąpieli i spać. Tylko najpierw wezwijcie ojca. – Catherine wyrzuciła dzieci z pokoju, one smętnie powlokły się do łazienki, ale gdy tylko za ojcem zamknęły się drzwi, biegiem rzuciły się do swojego pokoju i włączyły komputer.

 Mrok i Catherine długo uspokajali Lobasti. Dopiero po kwadransie Lobasti wylizała poczerwieniałe oczy i ostatni raz pociągnęła nosem.

 – Zróbmy podsumowanie – powiedziała.

 – Poczekaj chwilę. – Mrok podniósł łapę i podszedł do komputera. – Szallo, kiedy przestaniesz podglądać? – zapytał, zasłonił storą ekran kamery telewizyjnej i wyłączył komputer.

 – Skąd to wziąłeś, że ona nas podgląda? – zapytała Lobasti.

 – To twoja córka. – Uśmiechnął się Mrok. – Ale jeśli się mylę, uznam to za chybiony strzał.

 W pokoju dziecięcym Szalla zawyła żałośnie i podniosła nad głową zaciśnięte piąstki.

 – Papa wszystko wie – wyszeptał oszołomiony Artiom.

 – Wszystko – i nie wszystko – wykrzyknęła Szalla, sięgnęła pod szafę i wyciągnęła zwój przewodu. – Jak mawia wujek Tyson, głupio siadać dwa razy gołym tyłkiem na ten sam gwóźdź. Nie zdążyłam dokończyć, ale to kwestia paru minut.

 Tymczasem Mrok podszedł do sejfu, otworzył go i ze wzruszeniem zajrzał do wnętrza.

 – Śmieszne, ale myślałem, że znikną. – powiedział i położył na stole dwie czaszki smoczków w wieku trzy i pół roku. – Okazuje się, że czas jest jednak plastyczną substancją.

 – Nie mogę uwierzyć, że dzieci są znowu z nami. Opowiedz, jak ci się to udało zrobić, kochany – poprosiła Catherine.

 – Nie uwierzycie, ale to się okazało bardzo proste. Wśród tych dżentelmenów powodzenia był jeden imieniem Peter Pałka. Chłop ogólnie nawet niezły, ale najpierw wali, a potem dopiero patrzy, w kogo trafił. Potem zawarłem z nim znajomość. A wtedy po prostu wysłałem robocika, zakamuflowanego jako muchę, który dosypał mu do jedzenia dwadzieścia miligramów środka nasennego, co spowodowało, że ów Peter przespał kluczowy moment. No i nasze dzieci znowu są żywe. Ogłuszyli je, związali, trzymali w klatce, ale ich nie zabili. A po kilku dniach wypuścili z honorami.

 – Jak to wpłynęło na bieg historii? – zapytała Lobasti.

 – Zacznijmy od tego, że były trzy linie historii. Ta, w której dzieci nie łaziły w przeszłość, ta, w której je zabito i zjedzono i ta, w której je uratowałem. Badałem tylko dwie ostatnie.

 – Czekaj, Mrok, jesteś pewny, że istniała linia, w której oni nie wyprawili się w przeszłość?

 – Nie jestem pewny, ale to był mój zapasowy wariant. Zamierzałem lekko uszkodzić twoją maszynę, żeby dzieci naprawiały ją tak długo, aż byś je nakryła. Ale ten wariant okazał się zbędny. A pozostałe dwie linie różnią się tylko tym, że w pierwszej pewna dziewczyna całe życie miała na ramieniu piętno niewolnicy, a w drugiej pozbyła się go w dość barbarzyński sposób. Ale w obu urodziła jednakowe dzieci i w tym samym czasie. Jeśli więc w czasie są kluczowe momenty, w których oddziaływanie na historię mogłoby zmienić cały jej bieg, to ten do nich nie należy.

 Catherine podniosła ze stołu jedną z czaszek.

 – Nie mogę uwierzyć. Trzymam w łapie czaszkę syna, podczas gdy on, żywy i zdrowy, śpi w sąsiednim pokoju. Mrok, będziemy chyba musieli te czaszki zlikwidować. Jeśli dzieci dowiedzą się o tym, będzie to dla nich zbyt silnym ciosem.

 – Nie, niech na razie leżą sobie w sejfie. Teraz nic dzieciom nie powiemy, a za dziesięć lat można będzie powiedzieć...

 – A jeśli zobaczą je wcześniej? – zapytała Lobasti.

 – Czyli otworzą sejf? Uwierzyłabyś, że to twoja własna czaszka leży w sejfie na półce? Ja nie.

 – Mrok, ile czasu biologicznego straciłeś na uratowanie dzieci?

 – Nie aż tak wiele. Około roku, nie więcej. Plus siedemdziesiąt lat anabiozy, ale to nie na ratowanie, tylko na badanie linii historycznych. No wiesz, we mnie nagle obudził się uczony. A to naprawdę piekielnie ciekawe. Tak więc eksperyment w zasadzie nam się udał. Maszyna pracuje, zostało doświadczalnie dowiedzione, że można uratować tych, którzy zginęli w przeszłości. I ten koszmar się skończył.

 W pokoju dziecięcym Artiom obmacał siebie łapami, rozłożył i złożył skrzydła.

 – Tu jestem żywy, a tam martwy. Więc jaki właściwie jestem? Wiesz co, siostrzyczko, mamy naprawdę wspaniałego ojca! Wszystko potrafi! A ten twój pomysł z kamerą w wentylacji też był znakomity!

 Szalla wyrwała przewody z komputera, padła na łóżko i rozpłakała się na cały głos.

 – Szallo, nie płacz, coś ty?

 – Żal mam. Przychodzi papa i mówi, że umarliśmy, wyobrażasz sobie? I to wszystko przeze mnie!

 – Trzeba powiedzieć mamom, że wszystko wiemy. I pięknie podziękować ojcu.

 – Ja się boję.

 – Ja też. Dlatego właśnie trzeba. Ja to wiem.

 Artiom podał siostrze łapkę, Szalla ścisnęła jego dłoń i razem wyszli z pokoju.

**ŹLI CHŁOPCY**

 – Trupki, myć łapki i do stołu – wezwała dzieci Catherine.

 – Mamo, proszę cię, nie nazywaj nas tak. Robi mi się strasznie na myśl, że może jednak ciągle tam leżymy. – poprosiła Szalla.

 – No dobrze, nie będę. – Catherine podniosła smoczkę, liznęła w nos i znowu postawiła.

 Szalla pobiegła w podskokach do łazienki, śpiewając coś o Camelocie i rycerzach Okrągłego Stołu. Nagle rozległ się melodyjny trel dzwonka.

 – Wchodźcie, otwarte! – zawołała Lobasti.

 Weszło dwoje ludzi. Czarnowłosy, krótko ostrzyżony mężczyzna o wyraźnie wschodniej karnacji w śnieżnobiałym garniturze i młoda kobieta.

 – Witajcie, wy do nas? – zapytała Lobasti.

 – My do smoka imieniem Mrok. A pani to Lobasti, nieprawdaż?

 – Zgadza się. Mężu, masz gości. Zorganizuj jeszcze dwa dziecięce obiady.

 – Trupki chcą dokładki?

 – Nie, jeszcze nie zaczęliśmy jeść. To dla gości, ludzi.

 Smoczęta szumnie wyskoczyły z łazienki, wyrywając sobie wzajemnie ręcznik, ale, ujrzawszy gości, ucichły i grzecznie, na tylnych łapkach, podeszły do stołu. Catherine uśmiechnęła się z dumą. Mrok wyszedł ze swojego pokoju, wydał polecenia kuchennemu cyberowi i rozstawił na stole talerze, Catherine nalała do nich zupy, a Lobasti rozłożyła sztućce.

 – Wszystkie sprawy po jedzeniu – powiedział stanowczo Mrok, a gdy smoczęta skończyły dwa pierwsze dania, widząc, jak Szalla przelewa połowę swojego kompotu do pustej szklanki Artioma, zapytał – Trupki, a co to za sztuczki?

 – To mój kompot. Mogę z nim zrobić, co zechcę.

 – Artiom został ukarany. Możesz się z nim podzielić, ale nie dostaniesz dokładki.

 – Mój organizm rośnie i wymaga wody! – oburzyła się Szalla.

 – Nalej sobie w kuchni spod kranu – odciął się Mrok. Szalla naburmuszyła się.

 – Przepraszam, ale kto to są te trupki? – zapytała ludzka dziewczyna.

 – To my – Artiom z dumą wskazał na siebie i Szallę.

 – A ja mimo woli pomyślałem, że to my – odrzekł mężczyzna i roześmiał się, ale ostro urwał śmiech, co Mrokowi bardzo się nie spodobało.

 Spróbował sobie przypomnieć, gdzie słyszał taki śmiech. Na Strefie! Przełączył okulary na podczerwień i przyjrzał się gościom. Powiedział sobie w myśli: „Oho!”. Przełączył na ultrafiolet, ale tym razem nic nie zobaczył. Czysto machinalnie włączył system identyfikacji. Okulary zakomunikowały, że oboje są rozpoznani, ale „dostęp do informacji jest ograniczony”. Kontynuując rozmowę przy stole o niczym, Mrok połączył się okularami z Lobasti.

 „Sprowadź tu Conana. Chcę wiedzieć, co to za para. Trzeba przełamać ochronę danych”.

 „Nie obrażaj mnie. Co, sama nie dam rady? Przeciągaj czas” – odpowiedziała Lobasti.

 Po obiedzie Mrok zaprowadził ludzi do swojego gabinetu.

 – Nazywam się Greb. Czy moje imię panu coś mówi? – zapytał mężczyzna.

 – Nie – odrzekł Mrok. – Ale ma pan pistolet pod pachą, nóż w rękawie oraz jakąś broń za kołnierzem i pod lewą nogawką. To o panu mówi mi dużo więcej.

 – A pan to Stan Fred, uciekinier ze Strefy. Właśnie się w tym upewniłem.

 – Kto jeszcze wie o tym? – zapytał Mrok bez ogródek. Jego oczy zamieniły się w szparki.
 – O ile wiem, dziewięć kobiet i siedemnastu mężczyzn, których pan amnestiował ze Strefy. Jeśli przepchnie pan w departamencie poprawkę o wzorowym zachowaniu, to ta liczba wzrośnie o ponad sto osób.

 – Zgadza się. – Mrok posmutniał. – Jaką ma pan więc do mnie sprawę?

 – Mówiąc dokładnie, to nie do pana, a do Wielkiego Smoka Dżafara-Czarka. Ale nigdzie go nie ma. Mogłyby go zastąpić dwie jego żony: Kora i Anna, ale ich też nigdzie nie ma. Jego trzecia żona Berta zna moje imię, ale nic więcej. O moim istnieniu słyszało także około dziesięciu innych smoków, które spotkały mnie na Kwantorze, ale chyba też o mnie zapomniały.

 – Proszę mi wybaczyć, ale nic z tego nie rozumiem.

 – Chodzi o to, że stoję na czele wielkiego przestępczego ugrupowania, jak mówią o nas w wiadomościach. Trzy lata temu smok Czarek doszedł do wniosku, że mój klan przeszkadza wam w zajmowaniu się Strefą. Chciał po cichu zgnoić mnie na Strefie, ale pokazałem mu zęby i zmiażdżył mnie jak robaka. A moją organizację, moje dziecię, moje dzieło, mój najdokładniej wyregulowany mechanizm podporządkował sobie i zajął pracą nie pasującą do jej profilu,, czyli normalnym, legalnym biznesem. Ochrona, usługi detektywistyczne, zażegnywanie konfliktów, operacje ratunkowe. Płaca, oczywiście, wysoka, ale wpływy organizacji gwałtownie spadły. Doszedłem do wniosku, że smok nie ma racji i przygotowałem wewnątrz organizacji wybuch niezadowolenia. Plan był znakomity. Albo smoki odczepią się od mojego dziecięcia, albo ugrzęzną w gównie po uszy. Ale smoki znikły, a wybuch dojrzewał. Długo powstrzymywałem go w nadziei, iż smoki wrócą, aż w rezultacie sam stałem się celem. Wczoraj otrzymałem czarną metkę. – Greb rzucił na stół czarny plastikowy krążek.

 Mrok obejrzał go z ciekawością. Na jednej stronie narysowana była klepsydra, a na drugiej czaszka i dwie skrzyżowane kości.

 „On to gówno, a ona – rozumny cyber. Masz te pliki” – przyszła odpowiedź od Lobasti.

 – Ciekawe – wymamrotał Mrok. – A czego pan właściwie chce ode mnie?

 – Ja właściwie niczego. Ale moja Miriam chciałaby z panem porozmawiać.

 Mrok z nowym zainteresowaniem spojrzał na dziewczynę. Miriam to w tym rejonie kosmosu rzadkie imię. Jeśli ubrać ją w ochrony kombinezon i zmienić fryzurę...

 – Pamiętam panią. Pani z siostrą towarzyszyłyście Komandorowi na Mezozojce we wszechświecie Łacinników.

 – Mnie tam nie było. Pan pewnie spotkał moich analogów albo żywą Miriam.

 – Nie zrozumiałem. A pani jest nieżywa czy co?

 – Jestem androidem. Numer dwa w serii z trzech egzemplarzy. Moja biologiczna otoczka stwarza wrażenie żywego organizmu. Można powiedzieć, że jestem na wpół żywa. Biocyber.

 – Dziwne. Odniosłem wtedy wrażenie, że tamte dwie były stuprocentowo żywe. Pamiętam, że nawet komuś tam dały po gębie. Nie zorientowały się w subtelnościach językowych i pomyślały, że on je obraził.

 – Mną można sterować. Wydawać mojemu systemowi decyzyjnemu rozkazy podporządkowania. Jestem cyberem.

 – Często panią sterowano?

 – Rozkazy otrzymywałam dwukrotnie. Pierwszy raz był negatywny, a drugi pozytywny.

 – Nie rozumiem. Co to znaczy negatywny?

 – Negatywny to znaczy sprzeczny z moimi życzeniami.

 „Cyber, który ma życzenia”. – pomyślał Mrok. – „Ktoś tu z kogoś robi balona. Ale po co?”.

 – Co pani chce mi powiedzieć? – zapytał.

 – Sytuacja wymyka się spod kontroli. Przez dwa lata nie otrzymywałam nowych instrukcji. Moim głównym zadaniem ma być ochrona gospodarza. W razie napadu na niego będę musiała zabijać. Nie chcę zabijać ludzi.

 – A czego pani chce?

 – Żeby pan wmieszał się i ustabilizował sytuację.

 – W jaki sposób? – zapytał z zainteresowaniem Mrok. Zanosiło się na walkę z nieznanymi przeciwnikami, to rozgrzewało jego duszę i podnosiło mu nastrój. Ale Miriam się zmieszała.

 – Nie wiem. Może wyśle ich pan na Strefę?

 – Bez śledztwa i sądu? Żeby wysłać człowieka na Strefę, potrzebne są ważkie podstawy. – Mrok zauważył, że Greb uśmiechnął się sceptycznie. – Mam pomysł. Mała prowokacja: oni niszczą cybera – czyli panią. Ja rozdmuchuję sprawę i wysyłamy ich na Strefę.

 – Nie! Ja nie chcę umierać! – wykrzyknęła Miriam. I prawie od razu: – Zgadzam się!

 – Ten plan jest do niczego – zaprzeczył Greb. – Miriam jest mi potrzebna.

 – Miriam, a potrafiłaby pani sama się obronić? Na przykład w bójce czy walce na miecze?

 – Na pewno!

 – Artiom! – Mrok wyjrzał za drzwi. – Przynieś tu swoje miecze. Trzeba sprawdzić ciocię.

 Greb chciał się roześmiać na widok smoczka z mieczami pod pachą, ale przyjrzał się klingom dokładniej i śmiech uwiązł mu w gardle. To była zwykła broń bez żadnych ozdób, ale za to z wytartą rękojeścią i mnóstwem szczerb na ostrzu. Znając życiorys Mroka i usłyszawszy, że dzieci w rodzinie przezywa się Trupkami, był gotów na wiele, ale nie na widok bojowych mieczy jako dziecięcych zabawek.

 – Żadnej krwi, zwichnięć czy uszkodzeń ciała. Po prostu sprawdź koordynację ruchów cioci Miriam. I uważaj, żebyś nie uszkodził mebli. – instruował syna Mrok.

 Do pokoju wbiegła Szalla, usiadła na krześle i zaczęła obserwować przygotowania.

 – Może zaczniemy sprawdzian ode mnie? – zaproponował Greb, zdejmując marynarkę.

 – Nie, pan przegra od razu – zaprzeczył Mrok. – Tu potrzebny jest cyber.

 – Ciociu, a czy ciocia naprawdę jest cyberem? – zapytała Szalla. – Czy ciocia ma sny?

 – Jestem biocyberem. Nie mam snów – odrzekła Miriam i zrobiła kilka szybkich ruchów mieczem, żeby przyzwyczaić się do niego.

 Artiom odszedł pod przeciwległą ścianę i zaczął kręcić mieczem. Przed sobą, z boku, za plecami, znów przed sobą. Greb uśmiechnął się: Miriam to też umiała. Uczył ją walki dwuręcznym mieczem samurajskim i była już o wiele lepsza od nauczyciela. Ale uczył jej także nie demonstrowania wszystkich umiejętności. Trzymając przed sobą miecz i lekko kołysząc jego końcówką, Miriam ruszyła naprzeciw Artioma. Ten przestał kręcić młyńce i ostro zaatakował. Tempo walki stało się tak szybkie, że Greb prawie nic nie widział, a ciosy zlały się w ciągły werbel. W pewnej chwili Miriam przeskoczyła przez miecz Artioma, ale zaraz krzyknęła i odskoczyła w tył. Było to tak szybkie, że Greb nawet nie dostrzegł ciosu.

 – Oszukałem! – krzyknął radośnie Artiom i też cofnął się o dwa kroki.

 – Jesteś ranna? – przeraził się Greb, gdyż Miriam pochyliła się i pomacała nogę.

 – Będzie siniak – odrzekła dziewczyna. – A-gard! – rzuciła się do ataku.

 Znów zadzwoniły klingi. Smoczek zanurkował pod miecz i na sekundę przedostał się blisko Miriam. Dziewczyna krzyknęła i odskoczyła.

 – Ukąsiłem, ukąsiłem! – cieszył się Artiom. Miriam zawinęła rękaw i obejrzała lewy łokieć.

 – Jeszcze dwa siniaki – zakomunikowała, odłożyła miecz i ukłoniła się smoczkowi.

 Artiom zrozumiał, że przedstawienie się skończyło i też się ukłonił.

 – No i co powiesz? – zapytał go Mrok.

 – Ciocia Miriam ma szybkość i koordynację ruchów znakomitą, ale… Po pierwsze, odbija tylko zwykłe ciosy. A gdy złapałem miecz jak pałkę za środek ostrza i szarpnąłem w tył, trafiłem. A po drugie, ona walczyła tylko mieczem. Mogłem ją w każdej chwili uderzyć i pięścią, i tylną łapą, i ogonem. Dogu mówił, że trzeba walczyć wszystkim, co tylko ma się pod ręką, gdyż inaczej można łatwo zginąć. Ciociu Miriam, jeśli ciocia chce, ja ciocię potrenuję.

 – Nie trzeba, Artiom, innym razem.

 – Wujku, twoją awionetkę zaraz ktoś zabierze – zakomunikowała Szalla, spojrzawszy w okno. – Nie, nie zabierze. Wyszedł z kabiny.

 Mrok wyjrzał w okno. Człowiek spokojnie szedł ścieżką w kierunku niedalekiego lasu. „Donald Hoakin” zakomunikowały okulary.

 – Panie Greb, czy zna pan nazwisko Hoakin? – zapytał.

 – Jak zły szeląg. Jak rozumiem, moja awionetka jest zaminowana. Od rana oczekiwałem czegoś podobnego. – uśmiechnął się ponuro Greb.

 – Tuż pod moimi oknami! Bezczelny! Lobasti, zatrzymaj go, ale uprzejmie. Niech poczeka w przedpokoju. Powiedz, że chcę z nim porozmawiać. I uważaj, on jest uzbrojony.

 – Ha! – prychnęła Lobasti i wyskoczyła za drzwi.

 – Artiom, Szalla, pilnujcie tej awionetki, żeby do niej nikt nie wsiadł. Weźcie miecze i udawajcie, że trenujecie. Nie podchodźcie do maszyny bliżej niż trzy metry, gdyż, nie daj Boże, mogłaby wybuchnąć od waszego tupotu. Zadanie jasne?

 – Tak, papo! – smoczki, krzycząc wesoło, zniknęły za drzwiami.

 – Catherine, weź Miriam i polećcie na najbliższy postój awionetek, weźcie maszynę dokładnie taką samą jak ta i sprowadźcie tutaj. Wylećcie tak, żeby Hoakin was nie widział.

 – Mężu, Donald Hoakin czeka na ciebie – przekazała Lobasti.

 – Proszę mi wybaczyć – Mrok wysunął głowę za drzwi. – Będę wolny dosłownie za dziesięć minut. Lobasti, podaj gościowi kawę albo jeszcze lepiej, obiad. Pan przecież nie jadł jeszcze dzisiaj obiadu, czuję to po zapachu.

 – Przed panem nic się nie ukryje. – Hoakin uśmiechnął się i nieco rozluźnił.

 Mrok zamknął drzwi i spojrzał w okno. Szalla, machając nad głową mieczem, goniła Artioma dookoła awionetki. Wezwał cybera i kazał mu namalować szeroki niebieski pas na boku maszyny, a po chwili namysłu dodał jeszcze dwa wąskie poniżej i powyżej pierwszego. Wyszło niezbyt elegancko, ale jaskrawo i widać było z daleka. Zobaczywszy cybera, dzieci odbiegły o dwadzieścia metrów, położyły się na trawie i zaczęły przyglądać się jego pracy. Po chwili obok wylądowała druga awionetka, z której wysiadła Miriam, a zaraz po niej obok wylądowała zasapana Catherine. Mrok otworzył okno, Catherine podała mu Miriam, która zajęła swoje miejsce na kanapie obok Greba.

 – Dekoracje ustawione – powiedział Mrok. – Greb, proszę zrobić ponurą minę. Dopiero co otrzymał pan ode mnie burę. Miriam, proszę usiąść w kącie i zająć się czasopismami. Oboje jesteście na mnie źli.

 – Dobrze, bo właśnie skończyły mi się anegdoty – odezwał się w nausznikach głos Lobasti.

 Po chwili rozległo się uprzejme stukanie do drzwi. Mrok spotkał gościa na progu i zaprowadził do stolika z czasopismami. Dopiero usiadłszy, Hoakin zauważył Greba. Obaj od razu odwrócili wzrok.

 – Uprzedzam, że wszystko, co tu się odbywa jest zapisywane na magnetowidzie.

 – Po co? – zdziwił się Hoakin.

 – Żeby zmógł pan zaznajomić z tym zapisem swoich kolegów. Chciałem was osobiście odwiedzić, ale na moje szczęście pan akurat znalazł się tutaj.

 – Odwiedzić mnie? – Hoakin zdziwił się jeszcze bardziej..

 – Nie konkretnie pana. Potrzebny mi był dowolny przedstawiciel średniego szczebla organizacji, kierowanej przez Greba Kamurawę. Przeglądając informacje komputerowe zwróciłem uwagę, że efektywność waszych działań znacznie spadła.

 – Niemożliwe! Chłopcy nie zawalili żadnego zadania! – Hoakinaż krzyknął ze zdumienia.

 – My, smoki, oceniamy efektywność trochę inaczej, niż ludzie – wyjaśnił Mrok. – Nie według rezultatu końcowego, tylko według wysiłków, włożonych w jego uzyskanie.

 – No, jeśli tak… – Hoakinspojrzał na Greba. Ten wpatrywał się ponuro w czubki swoich butów.

 – Przeanalizowałem sytuację na komputerze i doszedłem do wniosku, że w waszym kolektywie dojrzewa kryzys – kontynuował Mrok. – Niewątpliwie to wina kierownictwa tej organizacji, które reprezentuje tu Greb Kamurawa. Poraził mnie też obliczony przez komputer wskaźnik napięć socjalnych w waszym kolektywie. Raz już byłem świadkiem czegoś takiego. Doprowadziło to do zwierzęcej bójki, w której jeden człowiek zginął, a kilku innych odniosło obrażenia. Żeby to się nie powtórzyło, postanowiłem osobiście was skontrolować. Jutro albo pojutrze zjawię się w waszym biurze i omówimy zmiany kadrowe. Przygotujcie wasze propozycje, ja je uważnie przestudiuję. I najważniejsze: w ciągu najbliższych dwu dni wstrzymajcie wszelkie akcje protestacyjne. Obiecuję przedsięwziąć środki zaradcze.

 – Postaram się. Wszystko im przekażę. Ale chłopcy są wściekli, rozumie pan – wymamrotał Hoakin, kuląc się pod badawczym spojrzeniem Mroka.

 – Właśnie, proszę się postarać. Wstrzymajcie się na dwa dni, a potem ja już zrobię z tym porządek. Zwróciłem uwagę, że w waszej organizacji jest wielu ludzi o przeszłości kryminalnej albo zbliżonej do kryminalnej. Jeśli wybuchną spontaniczne akcje protestu, może polać się krew. Pan i Greb Kamurawa nie powinniście do tego dopuścić. To już wszystko, co miałem wam powiedzieć. Wstańcie i uściśnijcie sobie wzajemnie ręce.

 Greb wstał, ukłonił się Hoakimowi, formalnie dotknął jego ręki i znowu usiadł. Twarz Hoakima rozjaśniła się w uśmiechu idioty.

 – Mogę już iść? – zapytał.

 – Jeszcze momencik, oto blok pamięci z zapisem naszej rozmowy. Przyjechał pan sam?

 – Tak, sam. Oczywiście że sam.

 – Tak myślałem. – Mrok spojrzał w okno. – Wezwałem awionetkę dla pana. Już przybyła.

 – Dziękuję, ale to naprawdę…

 – Proszę mnie nie obrażać. Zabrałem panu masę czasu. Panie Kamurawa, proszę się zbierać Pan poleci ze mną. – rzucił przez ramię Mrok, a gdy Hoakin pośpieszył do wyjścia, otworzył okno i zawołał: – Dzieci, do domu! = Smoczęta zerwały się z trawy, zamachały skrzydłami i przez otwarte okno wleciały do pokoju, a on im rozkazał – Stańcie za ścianą między oknami.I wy też – dodał pod adresem Greba i Miriam, obejrzał gabinet, zdjął ze stołu monitor komputera i postawił go na podłodze pod szafą.

 – Uprzedziłeś mamy? – zapytała Szalla.

 – One wiedzą – odrzekł Mrok, wyglądając w okno.

 Hoakin podszedł do awionetek i przenosił wzrok z jednej na drugą. Mrok zaklął i wysłał do awionetek cybera. Gdy Hoakin go zobaczył, natychmiast wsiadł do maszyny z niebieskimi paskami i wzleciał.Mrok przysiadł pod parapetem, ale wybuch nie nastąpił. Mrok spojrzał w okno, awionetka szybko się oddalała. Cyber zaczął rysować niebieskie pasy na pozostawionej. Zza zagajnika wystartowała jeszcze jedna awionetka i z maksymalną szybkością poleciała za poprzednią.

 – Dziwne... – mruknął Mrok i spojrzał na Greba. Ten patrzył na cyferblat swojego zegarka.

 – Powiedz „bum” – powiedział.

 – Bum! – ochoczo zawołała Szalla.

 Daleko nad lasem błysnęła iskierka i, ciągnąc za sobą dymny ślad, opadła ku ziemi.

 – Hoakin zawsze ustawia czas detonacji na sześćdziesiąt sekund – wyjaśnił Greb.

 Mrok wyjął spod szafy monitor komputera i postawił go z powrotem na stole.

 – Catherine, leć i zobacz, co tam się dzieje. I wezwij, kogo trzeba. – powiedział.

 – Mamo, ja z tobą! – ucieszyła się Szalla.

 – Siedzieć! – natychmiast zareagował Mrok, łapiąc ją za ogon i ściągając z parapetu. – Miriam, pani znakomicie udawała zwykłego cybera. Naszą rozmowę będziemy kontynuowali trochę później. Teraz mam kilka pilnych spraw.

 Greb obserwował smoki. Myślał, że przedstawienie się skończyło, ale okazało się, że wszystko dopiero się zaczyna. Miriam przekazała smokom nazwiska i adresy członków organizacji Greba i teraz smoki pracowały w skupieniu, siedząc przy komputerach i przerzucając się krótkimi zdaniami. Smoczęta włożyły na mordki okulary komputerowe i położyły się na kanapie, z rzadka trącając się łokciami lub wymieniając półszeptem uwagi. Greb domyślił się, że przez okulary utrzymują kontakt z dorosłymi. Czas mijał, nic się nie zmieniało. W końcu Greb wstał, przeszedł się po pokoju i powiedział:

 – Mrok, jestem zachwycony szybkością opracowania i realizacji operacji oraz zgraniem waszego zespołu, ale co będzie, jeśli nagranie rozmowy z Hoakimem ocalało? Departament Porządku Społecznego dowie się, że to pan wysłał awionetkę dla niego i mógł ją zaminować.

 – Proszę się tym nie przejmować. – Mrok lekceważąco machnął łapą. Siedział wpatrzony w ścianę i zastanawiał się, co ma teraz zrobić z Grebem, a zwłaszcza z Miriam, która w innym pokoju rozmawiała z Catherine. Słuchał tej rozmowy w pół ucha przez okulary Catherine.

 – Nie przejmować się? Przecież pan automatycznie staje się głównym podejrzanym.

 – Bynajmniej. Hoakin odleciał nie tą awionetką, którą wezwałem. Wiedziałem, że to on ją zaminował, zrobił to na oczach Szalli. Jasno i jednoznacznie dałem mu do zrozumienia, że wiem o początku polowania na pana i zaproponowałem odłożenie rozprawy o dwie doby. Hoakin mógł się zawstydzić, rozminować pańską maszynę i odlecieć nią. Ale coś mu nie wyszło, na przykład w minie był drugi detonator, o którym Hoakin nie wiedział – i maszyna wybuchła. Albo, jak to było naprawdę, po prostu pomylił pojazdy. Dodam, że go żałuję, gdyż był pojętnym młodym człowiekiem, z którym łatwo znalazłem wspólny język.

 Greb poczuł lód w brzuchu. Przed chwilą był pewny, że Mrok jest po jego stronie, że on, Greb, dostał przynajmniej odroczenie wyroku, gdyż albo jest smokom potrzebny, albo Mrok chce go zachować nietkniętego do powrotu Dżafara – i nagle wariant wydarzeń, podany przez Mroka, cofnął go na poprzednią pozycję. O czym w takim napięciu myśli ten potężny ciemnozielony smok z przeszłością zawodowego zabójcy? Greb roześmiał się i wstał z kanapy.

 – Dziękuję za pyszny obiad, ale pora na nas. Czas spędzony z panem był bardzo ciekawy.

 – Siedź.

 – Nie, naprawdę czas już na nas. W domu czekają na mnie ważne sprawy.

 – Czekają, ale nie żadne sprawy. – Lobasti podniosła łapę, uciszając człowieka.

 Akurat w tej chwili Miriam opowiadała Catherine o kabinach zero-t zainstalowanych w mieszkaniu Greba i o trzech kopiach jego mieszkania z analogicznym i kabinami. Lobasti już szperała w sieci komputerowej, poszukując informacji o tych konstrukcjach. Potrzebne jej były adresy sieciowe komputerów, sterujących kabinami, hasła i kody dostępu do nich, oraz adresy kopii mieszkania Greba. Odrzuciła wszelką ostrożność i otwarcie posługiwała się kluczami i hasłami Wielkiego Smoka. Groziło to nieprzyjemnościami w przeszłości, ale teraz czas był na wagę złota. Ludzie nawet nie wiedzieli, jaka burza elektroniczna szaleje wokół nich. Lobasti przywłaszczyła sobie prawa głównego administratora systemów komputerowych. Setki tysięcy komputerów przeszukiwały swoją pamięć w poszukiwaniu odpowiedzi na jej pytania. Ich nie było, więc Lobasti jeszcze bardziej rozszerzyła strefę poszukiwań. Teraz już miliardy komputerów w zamieszkałym kosmosie zbierały dla niej informację. Pierwsza odezwała się fabryka biegunów zero-komór, w której zmontowano na zamówienie kilka biegunów o nietypowej konfiguracji. Odezwały się transportowe cybery, przewożące te bieguny z wydziału do wydziału. Niedługo znaleziono numery seryjne komputerów, kierujących nietypowymi komorami. Potok informacji rósł coraz szybciej. Znalazły się cybery, montujące te komory, a cybery-nastawiacze podały kody, klucze i sygnały wywoławcze owych komór. Lobasti przycisnęła gorące czoło do zimnej ściany i wysłała okólny rozkaz przerwania poszukiwań. Zakończył się pierwszy etap, przed nią był drugi: przejęcie kierowania kompleksem obserwacji i kierowania oraz aparaturą zero-t w mieszkaniu Greba.

 Lobasti zawołała dzieci i kazała im zanieść wszystkie komputery oprócz ojcowego do salonu. Ustawiła trzy stoły w podkowę i rozmieściła na nich monitory. Lepiej byłoby powiesić na ścianach ekrany panoramiczne, ale na to nie było czasu. Obok przebiegła na tylnych łapkach Szalla, owinięta białym prześcieradłem jak togą, ale Lobasti nie mogła się dekoncentrować. Artiom i Miriam przynieśli duże pudło, z którego dochodził stukot kości. Mrok już trzy razy ją pytał, czy ona jest gotowa.

 Pierwszy raz od trzech lat Allan i Dymitr otrzymali prawdziwe zadanie: zlikwidować mężczyznę i kobietę. Zadanie nie było zbyt skomplikowane. Niechby nawet mężczyzna był mistrzem wszystkich sztuk walki na raz, na ich korzyść zadziała efekt zaskoczenia. Oprócz tego mieli zlikwidować, a nie wziąć żywcem, a to o wiele łatwiejsze. Z zasadzki nawet dziecko może zabić mistrza, jeśli on się tego nie spodziewa.

 Wypożyczyli małą platformę antygrawitacyjną od robotników, remontujących dom w pobliżu i wlecieli na niej pod okno. Okazało się nie zamknięte – pewnie, po co je zamykać sto metrów od ziemi i sto od dachu? Przeleźli przez parapet, rozejrzeli się. Byli w sypialni bogatego, ale skromnego człowieka. Wnieśli platformę do pokoju, po czym Dymitr, rozwijając cienki, prawie niewidzialny przewód, wyszedł na korytarz. Położył w kącie prawie niewidoczne czarne pudełeczko i wrócił do pokoju. Allan otworzył teczkę-dyplomatkę, w której był laptop, podłączył do niego kabel, wypróbował joystick. Na ekranie wyraźnie było widać cały korytarz. Allan wycelował w drzwi wejściowe krzyżyk celownika, z zadowoleniem skinął głową i poszedł oglądać barek gospodarza.

 – Co ci nalać? – zapytał.

 – Martini. Ale bogactwo! – zdumiał się Dymitr, oceniwszy okiem znawcy zawartość barku.

 Allan z wysokim kielichem w ręce przeszedł się wzdłuż ściany, postał chwilę obok dwuręcznego miecza samurajskiego, poszczękał przyciskami albumu fotograficznego.

 – Coś się wyjaśniło w sprawie Hoakina?

 Dymitr wyjął komunikator, porozmawiał z kimś półgłosem i przekazał Allanowi:

 – Prawie nic. Wysadził się na własnej minie. Komunikował wspólnikowi, że robota wykonana, czas uchodzić, ale wystartował pół godziny później. Gdzie wtedy był, nie wiadomo.

 Komputer pisnął żałośnie, ekran wypełnił się zakłóceniami i zaczernił się. Dymitr zaklął i wyszedł na korytarz. Na podłodze siedział i mył się mały kotek. Ujrzawszy człowieka, podniósł się, przeciągnął, wygiął grzbiet w łuk i potarł się o nogawkę. Dymitr pociągnął za kabel i odkrył, że jest urwany.

 – Co tam? – zapytał Allan, sprawdzając pistolet laserowy.

 – Zwierz przegryzł przewód. To nic, mam zapasowy. – Dymitr chwycił kotka za skórę na karku, zaniósł do toalety, zatrzasnął za nim drzwi i wymienił kabel.

 – Pracuje. Kiedyś tak mi zginęła papuga. Ładowałem w garażu elektromobil, a ona dziobnęła przewód. Był grubości palca – mówiąc to, Allan znów skierował się do baru.

 Otworzył drzwiczki i najpierw aż gwizdnął z wrażenia, ale po chwili się roześmiał. Zamiast butelek i kielichów w środku był tylko arkusz papieru, na którym narysowano tłustą figę.

 – Obraziliśmy gospodarza – zakomunikował. – Wypiliśmy dzienną normę trunku.

 – Picie szkodzi. Alkohol podkopuje zdrowie i skraca życie. – Dymitr położył nogi na stole i rozsiadł się wygodnie w fotelu. – Patrz! – krzyknął nagle.

 Na ekranie widać było, jak kotek chodzi po korytarzu i obwąchuje ściany.

 – Żegnaj, zwierzaczku – uśmiechnął się Allan, naprowadzając na kotka krzyżyk celownika.

 W tej samej chwili kotek… znikł. Fala nieświadomego strachu ogarnęła Allana. Dymitr wyszarpnął z kabury pistolet i wybiegł na korytarz. Zakłapały drzwi pokojów. Dymitr biegał po całym mieszkaniu, ale kotka nigdzie nie było.

 – To jakieś diabelskie sztuczki – wymamrotał wracając.

 – Strąciłeś armatę – zauważył Allan. Na ekranie widać było tylko kawałek tapety.

 Dymitr wyszedł z pokoju. Obraz się obrócił, znów widzieli cały korytarz. Allan spojrzał żałośnie na barek. Drzwi same otworzyły się kusząco, ukazując rzędy butelek. Allan nalał so-bie na dwa palce, wypił duszkiem, po czym wytrzeszczonymi oczami wpatrzył się w butelkę. Etykietka była podobna do martini, ale z napisem: „Patentowany środek przeczyszczający”.

 „Ciecz reaktywna” – przeczytał na sąsiedniej, a na kolejnych: „Jad cykuty”, „Mocz młodego prosiaka”, „Potas żrący z cytryną”, „Ślina trędowatego”. Zacisnął dłonią usta i wybiegł do toalety. Zawartość chyba nie odpowiadała etykietce. Nie „przeczyszczający”, a „wymiotny”.

 Po minucie upewnił się jednak, że to rzeczywiście był środek przeczyszczający.

 Wyszedł z toalety po pięciu minutach zły, obryzgany wodą i resztkami obiadu, z trudem powstrzymując spazmy pustego już żołądka. Dymitr zrobił w sypialni idealny porządek. Allan się zdziwił: to nie było w stylu kolegi. Z kuchni wybiegł jelonek, podobny do tych z kreskówek i wesoło pobiegł za ważką korytarzem. Zza drzwi wyraźnie dochodził stuk jego kopyt. Allana znów ogarnęła fala strachu, jakby zimny wąż skręcił mu się brzuchu. Wyszarpnął pistolet z kabury i rzucił się do drzwi. Cienkie kopytka zastukały w korytarzu oddalającym się bębnieniem. Lodowate powietrze opaliło płuca, oddech zakłębił się obłoczkiem pary.

 – Dymitr!!! – wykrzyknął Allan, sprawdził kuchnię, bibliotekę, gabinet, salon.

 Towarzysza nigdzie nie było. Zza pleców powiało chłodem. Allan obejrzał się. Dymitr siłował się z zamkiem drzwi wejściowych. Z charakterystycznym trzaskiem wyskoczyła jasna iskra elektryczna, odrzucając Dymitra do tyłu, aż się potknął. Oczy Allana poraził jasny blask, oślepiając go na sekundę. Pod jego nogi potoczyła się czaszka, klapiąc dolną szczęką. Odsunął ją nutem i podszedł do tego, co jeszcze przed chwilą było Dymitrem. Najbardziej zdumiało go, że na szkielecie nie było ani butów, ani koszuli, tylko kurtka, od której z lekka się dymiło, i spodnie, z cieknącym z lewej nogawki strumyczkiem. Zza pleców, z miejsca, gdzie Allan dopiero co stał, rozległ się wesoły dziecięcy śmiech. Serce gwałtownie zabiło i straciło rytm. Powoli, bardzo powoli Allan się obejrzał. Tam stała Ona! Nieco wyższa od człowieka figura, cała w bieli. Jej ręka kończyła się ogromnymi pazurami, w których ściskała kosę. Pod kapturem nie było twarzy, tylko pysk krokodyla z wielkimi czerwonymi oczami.

 – Ars longa, vita brevis! – powiedział krokodyl piskliwym dziecięcym głosikiem.

 – Nie-e-e!!! – wrzasnął Allan, wyciągając pistolet.

 Biała figura znikła przed wystrzałem, pozostawiając kosę i śmiech. Promień przeciął uchwyt, ostrze z ogłuszającym dźwiękiem spadło na podłogę. Allan zatkał sobie uszy rękami, zamknął oczy i padł na kolana.

 – Allan, tu jesteś! Co za durne mieszkanie! Jakiś idiota zamurował okno w kuchni. Drzwi zatrzasnęły się na zamek, dziesięć minut próbowałem je otworzyć, w końcu ściąłem do stu diabłów. Widziałeś, by na drzwiach do kuchni montowano zamek, i to jeszcze pod prądem?!

 Allan otworzył oczy. Przed nim, z pistoletem w rękach, stał Dymitr, cały i zdrowy. Allan obejrzał się. Szkielet znikł.

 – Odejdź! Zniknij! – zawołał rozpaczliwie Allan, podnosząc obiema rękami pistolet.

 – Co się z tobą dzieje? – zapytał Dymitr, robiąc krok naprzód.

 – Nie podchodź! – zawołał Allan i jego palce prawie mimowolnie nacisnęły spust.

 Ognisty promień przeszył pierś człowieka. Dymitr padł, ale w trakcie padania zdołał jeszcze odpowiedzieć własnym promieniem.

 ...Nie wiem, jak, kiedy i czemu zmienił się jego stosunek do mnie. W pierwszych dniach miałam zbyt mało doświadczenia życiowego, moje postępowanie w całości określał bazowy algorytm zachowania, a poza tym on ani razu nie był ze mną sam na sam. Dopiero pod koniec pierwszego roku znalazł dwie sekundy dla mnie. Tego dnia wezwał do siebie Greba, a ja, jak zwykle, byłam z nim. Ostentacyjnie nie zwracał na mnie uwagi, ale gdy już się rozstali i Greb wyszedł na korytarz, dotknął mnie czule, uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. Wtedy zrozumiałam, że mój system komenderujący już nigdy nie otrzyma od niego ani jednego rozkazu. To było olśnienie. Stałam się wolna i uśmiechnęłam się do niego w odpowiedzi.

 Ale wtedy otworzyły się inne drzwi i zobaczyłam Pierwszą i Trzecią. One też zobaczyły mnie i zamarły w drzwiach. W ich oczach ujrzałam pogardę i współczucie. Tak ludzie patrzą na ubogich głuptasków Żałowały mnie. Mnie, która od tego dnia została już przy Grebie, moim nowym panu i władcy. Aż krew mnie zalała. Krzyknęłam, zrobiłam nieprzyzwoity gest i wybiegłam z pokoju, mocno trzasnąwszy drzwiami. Musiałam wtedy mieć straszną twarz, gdyż Greb dogonił mnie, przycisnął do swojej piersi i długo szeptał pieszczotliwe słowa. Słowa, które mężczyzna rzadko wypowiada w dzień.

 W nocy, udając jak zwykle śpiącą, przemyśliwałam nasze spotkanie. One wiedziały coś, czego ja nie wiedziałam. Coś, co dawało im prawo patrzeć na mnie z politowaniem. I nie tęskniły za Grebem, czego też nie mogłam zrozumieć. Wiedziałam, że będę tak samo gardziła i litowała się nad sobą, dopóki nie poznam ich tajemnicy. Do rana zrozumiałam różnicę między nami: one stały się PRAWDZIWE. Nie wiem, co to znaczy, nie umiem tego wyrazić słowami. Mój twórca też chyba uważa mnie za prawdziwą. Greb nie zapomina, kim jestem, ale ma to w nosie. Tylko czasami, gdy pierwszy raz zdarzy mi się być w nowej dla mnie sytuacji i działam według algorytmu bazowego, czuję na sobie jego zdumione spojrzenie. Ale w nocy, udając śpiącą, przetwarzam sobie w pamięci dziesiątki, czasem setki wariantów mojego postępowania, aż magle przychodzi zrozumienie: prawdziwa Miriam powinna była postąpić tak, a nie inaczej. I następnym razem już wiem, jak się zachować”.

 Catherine skończyła czytanie pliku i zeszła na dół.

 – …Ożywisz ich, papo? – zapytała Szalla, wyplątując się z prześcieradła.

 – Nie.

 – Dlaczego?

 – Bo oni zabijają na rozkaz. Dla pieniędzy. Nienawidzę tych, którzy zabijają za pieniądze. I gardzę tymi, którzy wydają takie rozkazy.

 – To znaczy, że oni naprawdę, na zawsze umarli... – Stropiła się smoczka. – Myślałam, że będzie ciekawie. A oni – gorzej niż na Sekondzie…

 – Strefa. Wszędzie Strefa. Trupy, zabójstwa. To fatum. Nie uciekniesz przed nim. A przecież ty już nie chciałeś zabijać, Mrok – głos Catherine zadrżał. Oszołomione smoki spojrzały jedno na drugie.

 – Po co właziliśmy w to gówno? – Lobasti pierwsza wyraziła ogólną myśl.

 – Nie wiem – przyznał szczerze Mrok. – Najpierw zdenerwowałem się, Że oni tak skandalicznie się rozzuchwalili, nie boją się mnie. A potem to już poszło. Pomyślmy, co można było zrobić.

 – O czym tu myśleć? Oddać Miriam na ich pastwę? Pomyślmy lepiej, co robić dalej. – Rozzłościła się Lobasti.

 – Bez emocji! Źle rozumujesz – zgromił ją Mrok. – Po pierwsze, to nie dotyczy nas. Greb to łajdak. Inne łajdaki chcą go zabić. Gdyby go zabili, zginąłby jeden człowiek. Tak już zginęło trzech. Ale to jeszcze nie koniec. Jeśli wyjdziemy z gry, oni ukatrupią Greba i trochę się uspokoją. Jeśli będziemy kontynuowali, zginie jeszcze sporo ludzi. Ale postawmy pytanie: czym się owi ludzie zajmą po ukatrupieniu Greba? Najprawdopodobniej jego organizacja rozpadnie się na kilka band i przez rok czy dwa będą się wzajemnie skutecznie wybijali. Później ci, którzy przeżyją, podzielą sfery wpływów i zaczną szczypać uczciwych ludzi. Dlatego proponuję przekazać całą posiadaną przez nas informację departamentowi porządku publicznego i wycofać się z gry. Powtarzam: nas ta sprawa nie dotyczy. Przestępcami powinien zająć się departament i Astropol. Koniec.

 – A Miriam? – zapytała Catherine.

 – Ona jest cyberem. Lobasti i Conan przemyją jej mózg.

 – Nie zrobisz tego, Mrok! – sprzeciwiła się Catherine.

 – Dlaczego?

 – Nie zechce. Ma wolną wolę. Jest żywa. Jej „siostry” zostały uznane za ludzi, więc i ona też. No i jest pod moją ochroną. Jeśli to zrobisz, odejdę.

 Mrok zerwał się i zaczął biegać po pokoju.

 – Więc co, mam tą całą bandę wysłać na Strefę? Takim gównem paćkać planetę?

 – Tato, ale przecież Strefa właśnie do tego służy. A gdzież jeszcze ich wysłać?

 Mrok usiadł na podłodze, chwilę pomyślał i roześmiał się.

 – Synu, masz rację. Ale nie chcę paćkać Strefy gównem. Zepsują mi tam uczciwych ludzi.

 – Uczciwi?! Na Strefie?! Zepsują?! Oj, bo pęknę! – Catherine roześmiała się piskliwie, prawie histerycznie. Lobasti i Szalla spojrzały na nich i też się roześmiały. Tylko Artiom poklepał się po głowie i zamyślił się głęboko.

 Kiedy wszyscy spoważnieli, Mrok wyjaśnił, że miał na myśli tych, którzy na Strefie zajęli się uczciwą pracą. Nowi przybysze, zjawiający się tam pojedynczo lub w małych grupkach, na pewno ich nie zepsują, ale taka wielka mafijna banda może to zrobić. Artiom powiedział:

 – Papo, ja wiem, co trzeba zrobić. Trzeba odtworzyć status quu.

 – Quo – poprawił Mrok – Uzasadnij.

 – A nie chcielibyście poznać mojego zdania na ten temat? Przyznaję się do tego, że was podsłuchiwałem. – Greb zszedł z piętra po schodach i ze śmiechem rzucił na stół kieszonkowy komunikator. – Drugi jest pod kanapą.

 Szalla zanurkowała pod kanapę i wynurzyła się z brązowym pudełeczkiem w zębach.

 – Przestań brać do pyska różne świństwa. Do tego służą łapy. – Catherine zabrała jej komunikator, wyłączyła go i rzuciła na stół obok pierwszego.

 – Czyż można mieć takie zaufanie do szefa mafii? – zapytał na wpół ironicznie Greb.

 – Niech pan się nie wygłupia, Greb. Jakby to panu wyjaśnić… Pańskie zdanie nikogo tu nie interesuje. A tego, co postanowimy, i tak pan się dowie. Trochę wcześniej czy trochę później, to nie ma znaczenia.

 – Ależ wy jesteście! Czy to takie trudne wysłuchać człowieka? – Miriam aż się rozpłakała.

 – No i masz, Mrok. Ładny mi cyber! Widziałeś kiedyś, żeby cyber płakał? – Catherine zaczęła ją uspokajać. Gdy to osiągnęła, Artiom zaczął:

 – Wielki Smok nie chciał, żeby oni trafili na Strefę. Chciał, żeby tu działali. Trzeba ich tylko pilnować, żeby nie chuliganili. Trzeba im wyjaśnić dokładnie, co i jak, a zrozumieją.

 – Ludzie tego nie zrozumieją, synu. Zwłaszcza tacy.

 – Mężu, jesteś przecież smokiem. Wyjaśnij to tak, żeby zrozumieli. Żeby twoje słowa śniły się im w najkoszmarniejszych snach. Dla lepszego efektu możesz wykorzystać infradźwięki, hipnozę i wmawianie, a nawet psychotronikę – poparła Artioma Catherine.

 – Psychotronika jest zakazana prawnie.

 – A Strefa jest lepsza? Ty i tak jesteś poza prawem.

 – Nie, ja jestem zgodny z prawem – westchnął Mrok. – Na mój przypadek nie wymyślono prawa. Nie było precedensu. Wyjaśniłem to. Człowiek-Mrok jest pochowany na Strefie. Kontynuuj, Artiom.

 – Ja już w zasadzie skończyłem. Trzeba ich zebrać razem i wyjaśnisz im, że wiszą u nas na haczyku. A mama Catherine sprawdzi, zrozumieli czy nie.

 – A co zrobimy z tymi, którzy nie zrozumieją?

 Artiom ciężko westchnął i poruszył skrzydłami tak, jakby mu przeszkadzały.

 – Tych na Strefę, papo. Ale takich będzie mało. Papo, ty przecież zdołasz im wyjaśnić…

 – A w następnym pokoleniu wszystko od początku… Trzeba leczyć chorobę, a nie symptom, zmienić rasę ludzką… – Mrok podrapał się w szczękę i zamyślił się na długo.

 – Mężu, puk-puk, można wejść? Gdzieś ty wybył?

 – Pojawił mi się pewien pomysł. Na razie zaczniemy realizację planu Artioma. Greb, biorę cię pod swoje skrzydło. Catherine, zajmij się basenem, trzeba go opróżnić z wody. Lobasti, przygotuj dossier na członków bandy Greba dla departamentu porządku społecznego, głównie w sprawach zahaczających o inne układy planetarne. Ja połączę się z Departamentem przez Astropol, oni pomogą zebrać podopiecznych do kupy, przekażą nam ich i uspokoją się.

 – A w Departamencie nie zaniepokoją się, po co Astropolowi taki tłum ludzi?

 – Nie, Lobasti, oni zaniepokoją się dopiero później, kiedy większość tego tłumu zwrócimy im i poprosimy o zrobienie ich ewidencji.

 – Papo, czy ten plan, o którym mówisz, jest naprawdę mój?

 – … Lucas, obudź się. Kiepski z ciebie ochraniacz.

 – A, szef! Gdzie jesteśmy? – Lucas usiadł, rozejrzał się i powtórzył – Gdzie my jesteśmy?!
 – A gdzie nasze ubranie, to ciebie nie obchodzi? – zapytał sarkastycznie Joshua Foster.

 – Obchodzi, szefie, ale trzeba skupić się na najważniejszym. Sam pan nas tak uczył. – Wstał i zadarł głowę, oglądając najbliższą ścianę. – Dwadzieścia pięć plus-minus dwa-trzy metry. – Odwrócił się, zasłonił prącie lewą ręką i powiedział uprzejmie: – Dzień dobry, pani Simons.

 – Dzień dobry, Lucas. Nie widziałeś mojego męża? Wszyscy tu są, a jego nie ma.

 – Nie, pani. Dopiero co się obudziłem.

 – Ach, on jest tam! Pierre, Pierre!

 – No, to rzeczywiście spotkanie bez krawatów! – Joshua Foster ogarnął wzrokiem członków swojej organizacji, którą Greb nazywał rodziną. Ludzie budzili się, rozglądali się z niedowierzaniem, budzili jeszcze śpiących, zadawali jedni drugim te same pytania.

 – Lucas, co ty o tym myślisz?

 – Nie widzę z tej jamy wyjścia ani schodów. Ścianki i podłoga pokryte są jednakowymi płytkami. W mieszkaniach tak nie budują.

 – Budują, na przykład w łazienkach.

 – Aha. Płytki metr na metr… Będzie z pięćset metrów długości, sto szerokości i dwadzieścia pięć wysokości, do sufitu chyba z pięćdziesiąt… Może zmniejszono nas do wielkości karalucha, co, szefie?

 – Nie pytałem o to pomieszczenie, tylko o ludzi, o to, jak tutaj trafiliśmy.

 – Z tego, że nie pamiętam, kiedy i jak zasnąłem, wnioskuję, że wdychaliśmy amnezynę. To sugeruje Astropol – ich styl. A z ludzi nie widzę tu Greba z żoną. Czyli pan dowodzi, szefie!

 – Amnezynę? Tak, na to by wyglądało. I Greba rzeczywiście nie ma. Mam nadzieję, że już na zawsze. – Ponieważ bezpośredniego zagrożenia nie było, Joshua Foster usiadł na podłodze i posadził ochroniarza obok siebie. – Popatrz no, Lucas, teraz masz okazję dowiedzieć się o ludziach więcej, niż w ciągu dziesięciu lat spokojnego życia.

 Obudzili się już wszyscy. Nikt nie miał ubrania, tylko każda z kobiet trzymała w ręce coś podobnego do kalendarzyka albo lusterka. Ludzie rozbili się na grupki i dyskutowali z ożywieniem. Kilku najmłodszych śmiało się nienaturalnie głośno. Ktoś truchcikiem przebiegł wzdłuż ściany, ostukując płytki kostkami palców. Kobiety zebrały się osobno i omawiały damskie sprawy. Sekretarka Joshui, Flores, oddzieliła się od nich i, nie zakrywając dłońmi intymnych miejsc,podeszła do szefa.

 – Dzień dobry, szefie. Będą jakieś rozporządzenia?

 – Nie teraz, Flores. Co masz w ręce?

 – Tabletki antykoncepcyjne. Jednej starczy na miesiąc, a każda z nas dostała dwa opakowania po dziesięć sztuk… Czyżby mieli nas tu trzymać aż tak długo, szefie?

 – Jutro ci odpowiem, dobrze, koteczku?

 – Dzwoneczki i trąbki są cacy! Ja dzisiaj nie pójdę do pracy! – zaśpiewał ktoś z młodych.

 Łysy i gruby starszy mężczyzna zaczął krzyczeć piskliwym głosem, że teraz wszyscy zginą przez tych kretynów, że łajdaków trzeba podusić. Joshua zmarszczył brwi.

 – Lucas, uspokój panikarza. – rozkazał, a gdy ochroniarz podniósł się z ciężkim westchnieniem, dodał – Źle mnie zrozumiałeś. Po prostu powiedz mu, że prosiłem, żeby był cicho. Dobitnie i możliwie bez rękoczynów.

 Lucas wyraźnie poweselał i podszedł do grubasa. Krzyki trwały jeszcze jakiś czas, po czym nagle się urwały. Krzykacz ciężko usiadł na podłodze, obejmując rękami brzuch i kołysząc się całym ciałem. Lucas wrócił na swoje miejsce.

 – Nazwał mnie idiotą. Powiedział, że powinienem się powiesić, a gdy zapytałem go, na czym, nazwał idiotą. To było nieuprzejme.

 – Nie miał racji. Flores, policz ilu nas tu jest i pomyśl, kogo brakuje.

 Sekretarka poszła, wróciła i powiedziała

 – 137 osób. Brakuje Allana, Dymitra i Susan Carson. Ta ostatnia wie o wszystkim, ale… Pomyślałam, że… Te tabletki… A ona jest w drugim miesiącu ciąży…

 – Jesteś zuch, Flores. No tak, to dlatego!

 – Dzwoneczki i trąbki są cacy! I jutro nie pójdę do pracy! – śpiewała już chórem młodzież.

 Jedna z kobiet odchyliła do tyłu głowę, złożyła dłonie w trąbkę i krzyknęła:

 – Hej! Ktokolwiek! Ja chcę pi-pi! Rozumiecie?!

 Joshua był pewny, że ten krzyk pozostanie głosem wołającego na puszczy, ale po kilku minutach w jednym z rogów tego dziwnego pomieszczenia rozległo się klaśnięcie i pojawiła się olbrzymia biała bryła. Ludzie bezładnym tłumem pociągnęli tam. Bryła okazała się kawałem pianoplastu o wymiarach dziesięć na pięć na jeden metr. Na największej płaszczyźnie w równych odstępach były w nim głębokie dołki o średnicy około trzydziestu centymetrów.

 – Ja chyba wiem, co to takiego – powiedział pierwszy Lucas, wskoczył na bryłę i wysiusiał się do jednego z dołków.

 Potem Joshua ogłosił zebranie, na którym ludzie długo zastanawiali się, co to wszystko ma znaczyć, aż w końcu któryś z nich zapytał:

 – Ten dziwny rozmach, gigantomania, niestandardowe rozwiązania, domorosły humanizm – czyżbyście jeszcze nie zrozumieli? – Wszyscy siedzący w półkolu rozejrzeli się zmieszani. – Smoki! Czyż to nie jest oczywiste? Dostaliśmy się w łapy smoków!

 – Ale przecież smoki nigdy nie mieszają się do spraw ludzi!

 Gdzieś wysoko nad ich głowami rozległ się wesoły dziecięcy śmiech.

 – Zgadłeś, zgadłeś! – Trzepocąc skrzydełkami i przyciskając do brzucha coś białego, z góry zlatywał smoczek.

 – Ale malutki! – wykrzyknęła Flores. Rzeczywiście, smoczek od nosa do czubka ogona nie miał więcej niż dwa i pół metra długości.

 Nagle jakby biały kwiat rozkwitnął w powietrzu. Tysiące arkusików papieru zakręciło się nad głowami ludzi.

 – Oj! Wypuściłem! – wykrzyknął smoczek. – Poczekajcie, zaraz jeszcze dodrukuję.

 – Odleciał – Zdziwił się Lucas.

 – Zebranie zakończone, wszyscy są wolni – ogłosił Joshua.

 – Szefie, zdaje się, że ktoś tu mówił o olbrzymich, potężnych smokach. – zauważył Lucas.

 – Ach Lucas, Lucas, przecież ci mówiłem: ucz się dostrzegać najważniejsze.

 – Momencik, szefie, zaraz skojarzę… Już wiem! – i ochraniacz pobiegł zbierać arkusiki.

 Wielu już oglądało fotografie na arkuszach albo czytało teksty. Flores, przyciskając do piersi kilka arkusików, gorączkowo przeglądała leżące na podłodze.

 – Szefie, to ważne i pilne! To jest dossier na nas wszystkich.

 Joshua przejrzał kilka arkusików, wstał, kilkakrotnie zaklaskał i ogłosił:

 – Uwaga, bracia i siostry! Pomóżcie Flores ułożyć kartki po kolei. One są numerowane, więc nie będziecie z tym mieli problemów. Do roboty!

 Po kilkuminutowej krzątaninie wszystkie arkusze rozłożono na 137 plików – tyle, ile ludzi. Dla każdego z obecnych wystarczyło materiału, żeby wysłać go co najmniej na kilka lat za kratki bądź nawet na Strefę. Najświeższym przestępstwem był spisek w celu zabójstwa Greba Kamurawy, w rezultacie którego zginęło trzech wykonawców.

 – Szefie, to dlatego nie ma wśród nas Allana i Dymitra. Zginęli jak Hoakin.

 – Dzwoneczki i trąbki są cacy. Już nigdy nie pójdę do pracy... – wymamrotał Joshua Foster.

 Lucas ze zdumienia otworzył usta i mrugnął do Flores. Ta odpowiedziała gniewnym spojrzeniem i popukała się palcem w czoło. Joshua odprowadził na bok prawnika i długo z nim rozmawiał. Gdy wrócił, klasnął i podniósł rękę, prosząc o ciszę, po czym głośno przemówił:

 – Dossier, które upuścił smoczek, to dla większości z nas Strefa, bracia. Ktoś z was powiedział, że smoki nie mieszają się do spraw ludzi. W zasadzie to prawda, ale jest jeden wyjątek: Strefa! Strefą kierują smoki, a jej najwyższym kuratorem jest smok imieniem Mrok.

 – Ale sąd! Przecież sądu nie było!

 – Kto wie, kto wie… Pamiętacie, jak tu trafiliśmy?

 – Nie….

 – Może nas już osądzili, a teraz przygotowują psychicznie do wysyłki na Strefę?

 – Jeszcze was nie osądzili, a reszta się zgadza – rozległ się z góry znajomy dziecięcy głosik.

 Smoczek zeskoczył z krawędzi, zatrzepotał skrzydełkami i wylądował kilka metrów od ludzi, rozsypując po podłodze pudełko jakichś klocków. Stanął na tylnych łapkach, przednie założył za plecy i podparł się dla pewności ogonem. W tej pozycji był niewiele wyższy od przeciętnego człowieka. Miał na sobie tylko czapkę a la sombrero, zamszową kamizelkę z gwiazdą szeryfa na piersi, szeroki pas z kieszonkami, z którego zwisało stare, poobijane nunczako oraz tradycyjne smocze okulary-komputer. Ustawiwszy się, smoczek przemówił:

 – Papa mówił także, że ludzie nie potrafią myśleć. A ja mu zaraz na to…

 – A kim jest ten papa? I kim ty jesteś? – Joshua spróbował przejąć inicjatywę w rozmowie.

 – Mój papa to Mrok. A ja nazywam się Artiom i mam trzy i pół roku. Papa nie wierzy, że wy, ludzie, jesteście rozumni. A ja wierzę. Dlatego założyłem się z ojcem, że, jeśli wam wszystko dokładnie wyjaśnimy, zrozumiecie to i poprawicie się.

 – Założyliście się? O co?

 – O dziesięć porcji kompotu. Kto przegra, nie będzie pił kompotu przez dziesięć dni. A nie wyobrażacie sobie, jaki pyszny kompot robi moja mama!

 – Do diabła z kompotem! Gdzie jesteśmy? I na czym ma polegać nasz udział w zakładzie?

 – Jesteście teraz w basenie. Ojciec pozwolił mi zająć basen, bo powiedział, że, jeśli uciekniecie, będzie miał kłopoty z departamentem porządku społecznego. No i spuściliśmy z basenu wodę. A wasz udział ma polegać na tym, że powinniście wszystko zrozumieć, uświadomić sobie i żyć według prawa. Inaczej wszyscy umrzecie.

 – Kto nas zabije? Smoki?

 – Nie, ludzie. Jacy – to zależy od scenariusza, według którego pójdzie realna przyszłość. Ale zawsze ludzie. – Smoczek usiadł na podłodze, zgarnął klocki w kupę i, nie przestając mówić, zaczął układać z nich jakąś chwiejną ażurową konstrukcję. – Albo wasi wrogowie, albo sami siebie wybijecie nawzajem, tak, jak Allan i Dymitr. To jest progresywna socjotechnika. Nie da się tego wytłumaczyć w pięć minut.

 – A czy my się gdzieś śpieszymy?

 – Niedługo obiad, mamy będą kląć.

 – Na obiad możemy zrobić przerwę.

 Smoczek zauważalnie poweselał.

 – Jeśli po moich wyjaśnieniach będziecie przez pięćdziesiąt lat żyli jak normalni uczciwi ludzie, wygram zakład z ojcem. A teraz opowiem wam całą masę strasznych rzeczy. Papa mówi, że jeśli wydaje ci się, że żyjesz samodzielnie, bardzo nieprzyjemnie jest nagle dowiedzieć się, że ktoś mądrzejszy tobą kieruje, bawi się tobą jak tym klockiem. – mówiąc to, położył ostrożnie ostatni klocek na wierzchołku ażurowej piramidy, opierającej się tylko na trzech klockach.

 – Przeżyjemy to.

 – Więc słuchajcie. Wszystko zaczęło się cztery lata temu. Greb Kamurawa dokuczył czymś Wielkiemu Smokowi. Głupio, prawda? Smok wyjaśnił mu, że należy żyć uczciwie, bo inaczej, cokolwiek Greb by robił, będzie mu tylko gorzej, a jego przestępcze ugrupowanie – czyli wy – będzie zlikwidowane. Ale Greb pomyślał, że jest mądrzejszy od Wielkiego Smoka i chciał go przechytrzyć. Każdy powinien zrozumieć, że to się nie udało nawet innym smokom – a Greb nie zrozumiał. Dlatego właśnie mój papa uważa, że wy, ludzie, jesteście nierozumni.

 – Ale co takiego zrobił Greb?

 – No, co zrobił, to zrobił. Waszą organizację przez Greba kontrolował sam Wielki Smok. A Greb zrobił tak, że się zbuntowaliście. Chciał smoki wpakować w wasze brudne sprawy. Ale on obliczał wszystko na pięć ruchów naprzód, a smoki na dziesięć. Zbuntowaliście się, kiedy wszystkie znane Grebowi smoki wyprawiły się do innej galaktyki i postanowiliście ukatrupić Greba, a on – was. A Smok obliczył wszystko tak, że jeśli Greb się zbuntuje, to, kto kogo by nie ukatrupił, zostanie po was tylko mokre miejsce. Albo pobijecie się o władzę, albo wszystkich was wybiją na Strefie. Socjotechnika stosowana to bardzo złożona nauka i nie wiem, jak wam to wyjaśnić samymi słowami, bez wzorów, gdyż tam wychodzi kupa wariantów, trzeba do nich zastosować reguły teorii grup, potem rozbić na klasy, dla każdej klasy obliczyć oddziaływanie kierujące, i do tego jeszcze oddziaływanie korekcyjne, żeby klasy szły pęczkami, nie rozłaziły się. Kierujące jest proste, to potrafi obliczyć każdy, ale korekcyjne – to już sztuka. Tam trzeba widzieć całą różnorodność wzajemnych oddziaływań współistniejących czynników – a papa mówi, że wy myślicie wąsko… – smoczek zmieszał się i umilkł.

 – Artiom, opowiedz dokładniej o Strefie.

 – Ze Strefą akurat wszystko jest proste. Gdy ludzie trafiają na Strefę pojedynczo bądź w małych grupkach, albo szybko giną od kuli, albo znajdują sobie zajęcie. A was jest wielu i stanowicie zorganizowaną siłę. Co prawda, według tamtejszych pojęć nie jesteście siłą aż tak wielką, tam takich jak wy jest bez liku, ale wy tego nie wiecie. Na pewno zechcecie objąć tam władzę i żyć lepiej od innych. A oni wam na to nie pozwolą i wszyscy albo prawie wszyscy zginiecie, a wraz z wami także wielu innych. Mojemu ojcu to zupełnie niepotrzebne.

 – Dlaczego?

 – Artio-om! Obiad na stole! Witajcie, ladies and gentelmans! – Głowa dorosłej smoczycy ukazała się nad ścianą basenu.

 – No to na razie, mama mnie woła. Dokończę, kiedy wrócę po obiedzie. To jest jeszcze bardziej złożone. Na Strefie będziecie przeszkadzali mojemu ojcu w jego planach. Wychodzi na to, że jesteście pionkami w grze dwóch smoków i żaden z nich nie będzie miał dla was czasu. Gdy pionek przeszkadza, lepiej go poświęcić w grze niż tracić na niego czas… Hop-la! – Dla upewnienia ludzi smoczek zgrabnym ruchem ogona wybił z podstawy piramidy jeden z klocków. – Ale mama Catherine mówi, że jesteście także ludźmi i wielu z was jest na razie lepszych niż ci na Strefie. A Stefa nie leczy, tylko kaleczy. Ona wie, co mówi; zanim stała się smoczycą spędziła jako człowiek dwieście lat na Strefie. Właśnie dlatego papa zgodził się, żebym i ja usiadł nad planszą i zagrał tym pionkiem.

 – Artiom, zupa stygnie!

 – Już lecę, mamo!

 Ludzie odprowadzili wzrokiem smoczka, spiralnie nabierającego wysokość. Joshua spuścił wzrok i potarł dłonią czoło.

 – A piramidka stoi…

 Dziesięć metrów od ludzi z klaśnięciem pojawiła się bryła piano-plastyku. Kilka kolejnych klaśnięć – i w bryle pojawiły się wgłębienia, w których tkwiły kwadratowe pojemniki wypełnione zupą, ziemniakami puree, pieczonym mięsem, sosem, kompotem i herbatą. Jeszcze dwa klaśnięcia – i do trzech ostatnich wgłębień zwalił się cały wodospad cienkich kromek chleba oraz białych plastikowych talerzy i łyżek.

 – Co to jest? – zdziwił się ktoś.

 – Wygląda mi to na nasz obiad.

 – Ale jak?...

 – Zero-t. Dostawa przez zero-t. Wiadomo, smoki…

 Wykorzystując jako chochlę jeden z talerzy, kobiety zaczęły rozlewać zupę do talerzy oraz rozkładać pozostałe składniki.

 – Nie ma szklanek. – Ktoś się oburzył.

 – Napoje zjemy łyżkami z talerzy, jak zupę.

 Joshua w zamyśleniu maczał chleb w zupie i odgryzał małymi kęsami.

 – Coś nie w porządku, szefie? – zapytał Lucas.

 – A ty jak myślisz, Lucas? Trzyletnie krokodyle dziecko nie może nam wyjaśnić socjotechniki, bo za wąsko myślimy. Dla nas to zbyt skomplikowane… Założył się z ojcem o dziesięć porcji kompotu, które jeden z nich wypije za pięćdziesiąt lat… Ten maluch dawno już wtedy dojrzeje, ale zakład pozostanie w mocy. Smok będzie od czasu do czasu doglądał nas, czy któryś nie zboczył z drogi prawdy…

 Niewysoki, krótko ostrzyżony mężczyzna, wyglądający na mieszkańca Wysp Wschodzącego Słońca, podszedł do Joshui, pokłonił mu się z rękami złożonymi na piersi jak do chrześcijańskiej modlitwy i zamarł, oczekując, aż szef zwróci na niego uwagę.

 – Mów, Domine.

 – Chciałbym zwrócić uwagę na mowę małego smoczka.

 – Zamieniam się w słuch.

 – Mówił o socjotechnice. .. Jak by to powiedzieć… Z jego mowy wywnioskowałem, że on tak naprawdę nie zna teoretycznych podstaw, tylko praktyczne metody i ćwiczenia. Nic dziwnego, zważywszy jego młody wiek.

 – Chcesz powiedzieć, że on jest socjotechnikiem-praktykiem?

 – Tak.

 – Jeszcze gorzej. Dziękuję, Domine.

 Wyspiarz wrócił do przerwanego obiadu.

 – Wszystkie smoki to bziki – powiedział Lucas z całą pewnością siebie.

 – Niech ci będzie. Ale rozmach… Ten dzieciak ma trzy lata, a już jest socjotechnikiem i dla próby sił postanowił uratować półtorej setki ludzi. O czym ty marzyłeś mając trzy lata?

 – Nie pamiętam. Szefie, niech pan się nim nie przejmuje. On jeszcze bawi się klockami, trzyma się maminej spódniczki…

 – Smoki nie noszą spódniczek. – Uśmiechnął się Joshua.

 – No to maminego ogona. Przyczepił sobie gwiazdę szeryfa. Dla niego to zabawa. Dla nas to sprawa życia i śmierci, a dla niego gra. Myśli pan, że my ją przegramy?

 – Popatrz na piramidkę. Czy ona może tak stać?

 – Och, do diabła…

 – Właśnie! Kto z nas najlepiej orientuje się w technice? Harry i Borys? Flores, bądź tak dobra…

 – Robi się, szefie!

 Sekretarka zabrała talerze dwóm mężczyznom, coś im wyjaśniła, po czym przyniosła Joshui i Lucasowi talerze z herbatą.

 – Flores, czy to dla mnie?! – Zdumiał się Lucas. – Nie poznaję cię. Wcześniej słyszałem od ciebie tylko ”Odwal się, grizzly!”.

 – Już od godziny trzymasz łapy z dala ode mnie. Gdy tresuje się niedźwiedzia, właściwe reakcje utrwala się poczęstunkiem. Kawałkiem cukru albo cukierkiem.

 – Ależ Flores, zawsze marzyłem, by cię zobaczyć w takim stroju, jaki masz teraz na sobie!

 – Przestań, Lucas. To nie czas na żarty. – wmieszał się Joshua.

 – Ona zaczęła pierwsza – burknął ochroniarz.

 Joshua obserwował w zamyśleniu, jak dwóch gołych mężczyzn czołga się na kolanach dookoła piramidki z klocków, która uparcie nie chciała upaść, choć było to sprzeczne z wszelkimi prawami fizyki. Flores przyniosła klocek, wybity pr4zez smoczka z podstawy piramidy.

 – Szefie, proszę go ogrzać w rękach – poleciła.

 Na wszystkich sześciu ściankach klocka pojawiły się portrety: Greb Kamurawa, Miriam , Allan, Dymitr, Donald Hoakin i sam Joshua Foster.

 – Popatrz no, Lucas. Ciągle jeszcze myślisz, że smoczek po prostu bawi się klockami?

 – Szefie, bardzo mi się nie podoba towarzystwo, w jakim pana umieścili.

 – Harry, Borys, co tam u was?

 – Wygląda mi to na antygrawitację, szefie. Generator jest gdzieś pod podłogą.

 – Da się coś takiego zrobić?

 – Da się, ale to bardzo skomplikowane. Trzeba bardzo dokładnie umieścić generator i równie dokładnie obliczyć cały system. Patrzcie – Harry zdjął górny klocek i cała piramidka się rozsypała. – Do diabła! To przecież ja! – krzyknął, gdy klocek ogrzał się w jego dłoniach.

 – Smoczek usiadł przed nami – myślał głośno Joshua. – A my wszyscy byliśmy w przypadkowych względem niego miejscach. Na najniższym klocku był mój portret. W ręce Harry’ego trafił klocek z jego portretem. Lucas, ty chyba mówiłeś, że smoczek bawi się klockami.

 – Poddaję się, szefie. Smoczek bawi się nami, a nie klockami. Co pan zamierza zrobić?

 – Wyprowadzić stąd ludzi. Przecież ty nie chcesz na Strefę, prawda? Ten przeciwnik jest nie na nasze zęby, więc z dwojga złego wybierzmy mniejsze. Odstąpimy, zbierzemy siły i… będziemy długie lata żyli cicho i spokojnie. Nigdy nie marzyłeś o spokojnej starości, Lucas?

 – Szefie, niech się pan nie poddaje! Pan jest silniejszy i mądrzejszy od wszystkich wrogów!

 – A czy ten smoczek jest naszym wrogiem? On chce nas uratować, sam słyszałeś.

 – Ale…

 – Trzeba umieć przegrywać, synku.

 Joshua odłożył talerz, wyprężył się na całą wysokość, przygładził ręką siwe włosyi ogłosił:

 – Bracia i siostry! Proszę wszystkich o podejście do mnie. Słońce się od nas odwróciło i skryło się za chmurami. Ale nie trzeba rozpaczać. Przecież czyste sumienie i spokojne życie to niezła alternatywa dla Strefy, nieprawdaż? Zaczynamy uczciwe życie, moi kochani. Zapomnijcie o wszelkich nielegalnych interesach, w każdym razie na najbliższe pięćdziesiąt lat.

 Rozległy się uprzejme śmieszki.

 – A oto i ja. – Smoczek wylądował na cztery łapy, ale od razu podniósł się i stanął w pozycji wyprostowanej. – Zaraz noc, podniosłem temperaturę w basenie o dwa stopnie.

 – Artiom, powiedz, po co ci te nunczako?

 – Przecież na pasie powinno coś wisieć, nieprawdaż? Chciałem powiesić dwa pistolety, ale papa zabronił, a kajdanki źle by się wam kojarzyły… Nie jestem przecież policjantem! Mam jeszcze miecz, ale on zupełnie nie pasowałby do epoki.

 – No tak, szeryf to nie policjant, tylko szeryf – powiedział Joshua. Smoczek się zmieszał.

 – Artiom, a ty umiesz posługiwać się nunczako? – wstawił swoje pytanie Lucas.

 – Ciocia Miriam mnie uczyła. – Artiom zdjął nunczako z pasa i pokręcił je w łapce.

 Tylko lekko poruszał dłonią w prawo i w lewo, a dwa trzpienie długie na pół metra związane stalowym łańcuszkiem ze świstem opisywały kręgi wokół jego nadgarstka. Lucas aż pomlaskał z zachwytu, ale Joshua chciał rozmawiać o czym innym. Zapytał:

 – Co macie zamiar z nami zrobić?

 – Dzisiaj już jest za późno, a jutro porozmawiam z każdym z was i dowiem się, kto jest rozumny, a kto nie.

 – W jaki sposób? Detektor kłamstwa? Skanowanie pamięci?

 – Spojrzenie smoka…. – zagadkowym szeptem zakomunikował smoczek, tajemniczo przewracając oczami. – Słyszeliście legendy o spojrzeniu smoka?

 – Artiom, przestań zawracać ludziom głowę – rozległ się głos z góry. Rozłożywszy skrzydła, obok ludzi płynnie wylądowała dorosła smoczyca. – Dżentelmeni, może ja trochę popatrzę, czym się zajmujecie?

 – To mama Catherine – przedstawił smoczycę Artiom.

 Rano zaczęła się dysputa. Tak samo, jak wieczorem, obok ludzi wylądowała Catherine i usiadła na ogonie. Artiom od razu usiadł na jej lewym udzie i zaklaskał przednimi łapami, jak wczoraj Joshua rękami, przyciągając ogólną uwagę. Tym razem miał na sobie czarny płaszczyk i dziwną kwadratową czapkę z dyndającą z boku kitką.

 – Zaczynamy robotę. Kto pierwszy? Nie ustaliliście? W takim razie będę wzywała w kolejności alfabetycznej, nie macie nic przeciwko temu?

 Wezwany podchodził, siadał na prawym udzie smoczycy i odpowiadał na pytania Artioma. Catherine nie zadawała pytań, tylko uspokajająco głaskała ludzi po głowach. Pytania to sypały się szybko, jak kule z automatu, to powoli, jak woda z zepsutego kranu, a ich różnorodność zdumiewała. Po co na przykład smokowi informacja, kiedy Borys kąpał się ostatni raz w morzu i czy lubi sok pomidorowy? Albo czy Flores miała psa, a Harry kota? Na jednego człowieka wypadało po około dziesięć minut. Mijały godziny, a dziwne przesłuchanie ciągnęło się bez końca. Ludzie się denerwowali. Ktoś czytał po raz kolejny dossier na siebie, ktoś inny wiercił klocki w dłoniach, oglądając pojawiające się na nich fotografie. Większość po prostu smutno milczała, leżąc na porolonowych podściółkach, które pojawiły się wczoraj wieczorem niedługo po odlocie smoczka.

 Nadeszła pora obiadu, ale smoki go nie jadły. W czasie, gdy ludzie jedli, zdążyły przepytać jeszcze trzech. Popłynęły kolejne godziny.

 – Koniec! Wystarczy! – zakomunikowała nagle Catherine, przepytawszy sześćdziesiątego. – Dziesięciogodzinny dzień pracy – to za dużo, to skandal. Będziemy kontynuowali jutro.

 – Ależ mamo, ja jeszcze nie przepytałem nawet połowy.

 – Ty jesteś zmęczony, ludzie są zmęczeni i ja także. Do widzenia, ladies and gemntelmans!

 I, nie zwracając uwagi na zaprzeczenia, posadziła syna na swoim grzbiecie i wzbiła się w powietrze. Artiom jeszcze próbował ją przekonywać, ale to się na nic nie zdało.

 Trzeci dzień niczym nie różnił się od drugiego. Przesłuchano kolejną sześćdziesiątkę i zostało już tylko siedemnastu. Czwartego dnia rano smoki i tych przesłuchały, a po obiedzie Artiom ponownie przesłuchał trzynastu ludzi. Po rozmowie z ostatnim z nich, Joshuą Fosterem, smoczek nagle zerwał z mordki okulary, rozpłakał się i odleciał z wielką szybkością.

 – Lady Catherine, czy pani coś z tego rozumie? – ze zdumieniem spytał jego matkę Joshua.

 – Pan oszukał jego nadzieje – westchnęła Catherine. – Wygłaszał pan piękne słowa, a sam…Wie pan, jak ciężko dzieci znoszą krach swoich nadziei? Nie, ja jestem panu wdzięczna. Pańska płomienna mowa pomogła większości odstąpić od nielegalnego biznesu. Ale pan sam zamyślił zorganizowanie nowej bandy. Artiom miał wielką nadzieję, że pan też zacznie nowe, uczciwe życie.

 – Co będzie ze mną? –zapytał Joshua. Smoczyca wzruszyła ramionami.

 – Po co pan mnie pyta? Sam pan postanowił. Daliśmy panu wybór, a pan wybrał Strefę.

 – Ale skąd pani to wzięła?!! – wykrzyknął Joshua. – Dlaczego akurat ja? Pani nie ma przecież dowodów!

 – Proszę się uspokoić. Smokom dowody są zbędne. Wasza wina nie podlegała dyskusji, rozmowa była tylko o ewentualnej amnestii. Czytał pan przecież dossier i wie pan, że Astropol miałby na pana wielką chrapkę. Prawie wszyscy inni podpadają pod amnestię, a za pana nie ma komu zaręczyć. Chciał pan oszukać smoki, więc teraz ani Mrok, ani Artiom nie mogą już panu wierzyć. Proszę wrócić do swoich ludzi i pożegnać się z nimi.

 – Tylko ośmiu idzie na Strefę. Ośmiu ze stu trzydziestu siedmiu – to naprawdę bardzo dobry wynik, synu.

 – Tato, a tych w żaden sposób nie da się przekonać?

 – Artiom, socjonika to precyzyjna rzecz, rozumiesz? Przypuśćmy, że tych ośmiu także wypuścimy i cała banda wyjdzie z basenu w pełnym składzie. Ludzie poczują się bezkarni i z haczyka urwie się dalsza piątka, a może i więcej. – Mrok zrobił ruch łapą i na ekranie panoramicznym cały rząd portretów zabarwił się na czerwono.

 – Rozumiem, papo – westchnął smoczek. – Lepiej ośmiu niż trzynastu.

 – Tak. I o wiele lepiej niż stu trzydziestu siedmiu – dodał Mrok.

 – Tato, a jak to było, że na pierwszym z brzegu klocku każdy z nich widział swój portret?

 – Mama ci nie mówiła? Każda ścianka klocka to mały telewizor, który włącza się po ogrzaniu go w dłoniach. Ja i Lobasti po prostu puszczaliśmy na ekran potrzebny obrazek.

 – A dlaczego piramidka nie runęła? Ludzie mówili, że to bardzo trudne do zrobienia.

 – W każdym klocku oprócz telewizora jest także latarenka, za pomocą której można bardzo dokładnie określić jego położenie. Generator antygrawitacji umieściliśmy za pomocą zero-t dokładnie pod potrzebnym klockiem – pamiętasz, że mówiliśmy ci, żebyś umieścił go dokładnie na zielonej kropce? Najpierw wyjęliśmy z dna basenu kawałek betonu, potem w tej dziurze umieściliśmy generator i znowu przykryliśmy betonem. Generator śledził przemieszczenia klocków i gdy tylko piramida zaczynała się przekrzywiać, zmniejszał jej ciążenie.

 – A cóż to za durne pytania mama Lobasti dyktowała mi przez okulary?

 – Wśród nich były i te, których potrzebowaliśmy.

 – Tyle to i ja wiem. Ale po co pozostałe?

 – Żeby człowiek nie mógł się zorientować, czego konkretnie chcemy się od niego dowiedzieć, rozluźnił się i odpowiadał nie myśląc. Mamie Catherine łatwiej wtedy odróżnić kłamstwo od prawdy.

 – Papo, jesteś zadowolony z operacji?

 – Bardzo.

 – A ja nie. I Szalla płacze. Mama Lobasti mówi, że to paskudne, ale niezbędne. A mama Catherine tylko ciężko wzdycha.

 – Rozumiem… Synu, wyobraź sobie, że musisz wyczyścić ustęp w wiosce.

 – Wyślę cybera.

 – Nie ma cyberów. Musisz to sam zrobić.

 – Tato, ja wszystko rozumiem. Wyjaśnij to mamom.

\* \* \*

 – Nie masz racji, kochana. Smoki już od dawna igrają z wszechświatem. Po prostu do tej pory ich gry nie dotyczyły ludzi.

 – A propos ludzi. Co masz zamiar zrobić z Grebem i Miriam?

 – Wezmę ich ze sobą i na pewno nie będą tam odpoczywali. Biorę także jedną z maszyn czasu.

 – Mężu, ale dzieciom potrzebny jest przecież ojciec. Ja do sąsiedniej galaktyki, ty w przeszłość, a z dziećmi ma zostać sama Catherine?

 – Nie, Lobasti. Ja biorę dzieci i Catherine i jedziemy na księżycową bazę Sekondu. Tam Greb i Miriam wybiorą się w przeszłość. Czas wreszcie zrealizować pewien mój pomysł.

 – Ten sam?

 – Tak.

 – Och, Mrok, kiedy o tym myślę… Zdajesz sobie sprawę, na co się porywasz? Przekręcić o dziewięćdziesiąt stopni historię ludzkości… Aż skrzydła mi się kurczą i łapy drżą. Jak w dzieciństwie. A co będzie, gdy dowie się o tym Wielki Smok… Ogon przylepia się do brzucha.

 – On się nie dowie.

 – Papciu, ty jak byłeś człowiekiem, tak nim pozostałeś. On się dowie! Nie od razu, on zawsze jest nieco przyhamowany, ale dowie się na pewno.

Koniec

Spis treści

 Idea……………………………………………………………………………………… 2

 Wojaż…………………………………………………………………………………… 3

 Dzieci…………………………………………………………………………………… 8

 Źli chłopcy……………………………………………………………………………… 23